Numer 39 Nal. pocz. opł. ryczałtem. **Dnia 29 Września 1929**



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Pierwsza pomoc w nagłym wypadku.

— Ano, prose pana jinspektora, jechaliśma ze krztu świentygo, no i moja baba dziecko kasik zgubiła Chciołbym tyz dać wybembnić, może się odnojdzie.

— A cóżeście narazie zrobili?

— Ano prasnułek babe trzy razy bez łeb, niek dziecka lepiej pilnuje.



W koszarach.

Kapelan: — Nawet zwierzę wie, kiedy ma dość i kiedy należy przestać pić. Czyliż ty, człowiek rozumny nie możesz się ograniczyć w piciu?

Żołnierz: — Proszę księdza kapelana, jak piję wodę — to wiem, kiedy mam dość, a jak wódkę, to nigdy nie mogę utrafić.



Chłopska logika.

Bój się Boga, Jędrek, jak ty wyglądasz?

Proszę tatusia, wpadłem do rowu i powalałem się.

W nowych spodniach polazłeś tam?

Kiedy tak prędko wpadłem, że nie było czasu zdjąć ich wprzódy.

Powód.

Pani (do nowej służącej): — Dlaczego porzuciłaś twoją ostatnią służbę?

— Bo pan mnie pocałował.

— O! Czy tobie się to nie podobało?

— Mnie — tak, ale pani nie!



Rewanż.

Wicek i Wacek udali się razem do restauracji. Dziś funduje Wicek.

— Kelner! — woła Wicek — proszę o jedną porcję gęsi i dwa nakrycia.

— Dobrze!

Innym razem funduje Wacek. Już po obiedzie Wacek woła:

— Kelner! Proszę o jedno cygaro i dwie popielniczki.



Naturalnie tatuś!

Mamusia poszła do miasta po sprawunki, a gdy wróciła tatuś skarży się jej, że Loluś, Mizia i Kizia byli niegrzeczni i strasznie hałasowali. Mamusia woła dziatwę przed swe oblicze.

— Aa! ładnych rzeczy się o was dowiaduję! I któreż to z was najwięcej hałasowało?

— Tatuś, proszę mamusi!

Numer 39. Rok XII. Kraków, dnia 29 Września 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

„Któż, jak Bóg“.

Jak wiadomo, św. Michał jest patronem b. Galicji, od Wisły aż po Zbrucz, od Karpat do niziny Nadwiślańskiej, i za czasów porozbiorowych dzień 29 września był w tej krainie nadzwyczaj uroczyście obchodzony. Dzisiaj święto to, jako uroczyste, jest zniesione; lecz jako święto kościelne nie przestało istnieć. I całkiem słusznie, gdyż św. Michał jest, żeby tak powiedzieć, najstarszym świętym, gdyż świętym był już, zanim świat został stworzony.

Ile miljonów lat upłynęło od chwili, kiedy Pan Bóg stworzył Aniołów, tego my nie wiemy i zapewne nigdy wiedzieć nie będziemy, dość, że nie istnieli oni od wieków, ale zostali w czasie stworzeni. Gdy Najwyższemu Panu i Bogu zamało było cieszyć się szczęściem własnem, postanowił wyprowadzić z nicości duchów czystych, pięknych, blaskiem niebiańskim jaśniejących, których nazwał Aniołami. A najpiękniejszym z nich był podobno Lucyfer, którego Pan Bóg ustanowił niejako hetmanem Swych anielskich hufców i powiernikiem Swoim. Dał mu szczęście, dał mu moc i dał mu rozum wielki.

Ale Lucyferowi wszystko to było zamało; zapragnął być nietylko równy Bogu, ale chciał Go nawet przewyższyć. Stanął tedy dnia jednego przed miljardami duchów niebieskich i tak do nich przemówił:

— Jesteśmy wielcy, mamy szeroką władzę, mamy śliczną urodę, obfitujemy we wszystko, ale to dla nas zamało. Musimy być równi Stwórcy naszemu! Jesteśmy przecież dość silni, wypowiedzmy przeto walkę Bogu!

Słowa te podziałały silnie na pewną ilość Aniołów. Uzazdrościli Panu Bogu Jego mocy i postanowili walczyć z Nim pod wodzą najpotężniejszego z pośród siebie. Zdawało im się, że całe niebo opowie się za nimi. Ale u boku Stwórcy stanął inny Anioł, równie mocny, a jeszcze mocniejszy, gdyż miał za sobą niezwyciężonego Pana swojego. Archanioł Michał z słoneczną tarczą w jednej a ognistym mieczem w drugiej ręce, rzucił błyskawicami oburzenia na buntowników i gromkim głosem zawołał:

— Michael? Któż, jak Bóg? Kto chce zmierzyć się z Jego niezwyciężoną potęgą?

A na zawołanie wiernego Bogu Anioła przy boku jego stanęło miljony i miljony duchów niebieskich, którzy się nie dali uwieść ułudnem wezwaniom Lucyfera. Święty Michał podniósł miecz i powstała na niebie wielka bitwa, jakiej jeszcze nigdy nie było i nie będzie. I poraził strasznie św. Michał buntowniczego Lucyfera, spychając jego i jego zastępy w straszliwe bezdno piekieł. Pokora zwyciężyła pychę. Miłość pokonała nienawiść. Harmonja Boża zniweczyła haos...

Pokonany Lucyfer wściekał się ze złości. Wtórowali mu jego towarzysze, których tak haniebnie sprowadził z drogi prawej, ale wobec Mocy Bożej i Jego sług aniołów był bezsilny.

Żżymał się i czekał sposobnej chwili, aby gniew swój wywrzeć na Stworzycielu świata. I wreszcie sposobność się mu nadarzyła. Oto Pan Bóg stworzył człowieka. Rzucili się szatani całą chmarą, aby to piękne dzieło Boże zniweczyć, aby zągarnąć je dla siebie, a nic z niego Bogu nie pozostawić. A mieli drogę ułatwioną, gdyż Pan obdarzył ludzi wolną wolą, a dał im tę wolną wolę dlatego, ażeby sami sobie na szczęśliwość wieczną zasłużyli, aby ta szczęśliwość stała się im cenniejszą, jako przez nich samych wywalczona.

Była to gratka nielada dla Lucyfera i jego pomocników. Usidłali Ewę w raju, usidłali Kaina, usidłali Judasza i tylu innych Judaszów i Kainów, którzy i pomiędzy nami żyją i którzy i dziś idą za podszeptami nieprzyjaciół Boga. Walka, rozpoczęta przez św. Michała w niebie, toczy się i dziś nadal, ale zwycięstwo jest niewątpliwe: odniosą je ci, którzy wraz z św. Michałem wołać będą: „Któż, jak Bóg!“

HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

(Od Redakcji: W poprzednim numerze „Roli" zostało opuszczone zakończenie III Rozdziału, które podajemy poniżej:

— Co rzekł? — zapytał Seming po normandzku pachołka.

Ten powtórzył odpowiedź.

Zaklął Seming i z podniesioną pięścią przyskoczył do spokojnie stojącego pod skałą Jaksy, chcąc ukarać śmiałka. Lecz w tej chwili zza ramienia jego ukazała się Salwida i stanęła przed najeźdcą, zasłaniając sobą ojca.

Seming, zdumiony, opuścił rękę i patrzał na piękne zjawisko. W oczach migła mu lubieżność, poruszył bezzębnemi szczękami, jakby ją chciał pożreć, wreszcie skinął na swoich i coś zagadał w swoim języku.

Ci oddali mu ukłon, chwycili Jaksę za ręce, zepchnęli go ze skały, a Seming ułapił obiema rękami dłoń dziewicy i wciągnął ją do jaskini.

Przerażona tym, co się stało, straciła na chwilę przytomność i tylko czuła, że potwór ślini jej twarz, że odzież drze na niej na strzępy, a krótkiemi wstrętnemi palcami przesuwa po jej ciele.

Opamiętawszy się jednak, zaczęła się rozpaczliwie bronić, postanawiając raczej paść trupem, aniżeli wstrętnemu potworowi pozwolić się pokonać.

Rękami złapała go za twarz i wbiła mu w ciało paznokcie, kopała nogami i gryzła ramię napastnika, który tylko syczał z bólu, lecz nie popuszczał ofiary.

Pasując się w okropnym wysiłku z wrogiem, poczuła, że odzież podarta na niej na strzępy opadła na klepisko, a ona mało brakuje, a musi uledz zwyciężona.

Zebrała ostatki sił i szarpnęła się z całym rozmachem, stanęła na nogi i w ucieczce zwróciła się ku wyjściu.

Lecz wyjście zatarasowane było zbrojnymi ludźmi.

W jednej chwili, nim potrafił powstać Seming z ziemi, porwała leżący na stole bronzowy krótki nóż, — tak zwaną „kożę", — i przyłożywszy ostrze do piersi, całym ciężarem ciała runęła na klepisko.

Krew buchła strumieniem z rany, zalewając ognisko, a ona ugodzona w samo serce wyprężyła się tylko i... skonała.

Z podrapaną twarzą podniósł się Seming z posłania Jaksy i pochylił się nad nagiem ciałem.

— Głupia! — rzekł ze złością przez zaciśnięte wargi i kopnął trupa, strącając go po spadzistości góry nad Wisłę.

Jaksa, zobaczywszy staczające się zwłoki swej córki, ryknął nieludzkim głosem i wyrwawszy się zbirom, przypadł do ukochanej dzieciny.

— Morderco! — zawołał w stronę Seminga, a porwawszy ogromny kamień, cisnął nim do pieczary, obijając tam najpiękniejsze stalaktyty, a sam wziął na ręce drogie zwłoki, skoczył do pierwszej z brzegu normandzkiej łodzi, odepchnął ją silnie od brzegu i popłynął na drugą stronę Wisły.

Wszystko to stało się tak nagle i w tak krótkim czasie, że cała normandzka drużyna, na widok krwawych zwłok kobiety oniemiała i stanęła ogłupiała, nie rozumiejąc, co się stało.

Przejęci zgrozą nie bronili nawet Bojanowi odpłynąć na ich własnej łodzi z trupem córki.

Jaksa tymczasem, walcząc z nurtem rzeki, dopłynął szczęśliwie do drugiego brzegu, zabrał na ręce zimne już zwłoki i wszedł w gąszcz leśny, spotykając się oko w oko z trzema Starżami, którzy zaczajeni wypatrywali wroga.

— Starża! — zawołał jeden na widok starca.

— Jaksa! — odpowiedział tenże zdziwiony, skąd się tu wzięli Starżowie.

— Byliśmy świadkami potwornego czynu najeźdcy! — mówił Chrudosz a inni, rwąc włosy z głowy i brody, w bezsilnej rozpaczy lamentowali:

— Gorze nam, gorze!

Usiedli wszyscy nad zwłokami dziewicy i ukrywszy w dłonie swe twarze, pogrążyli się w niemej boleści.

— Czy wiecie, jak się zwie ten potwór i kto on?! — zapytał wreszcie, ocknąwszy się, Wsewołod.

— Mówili jego zbiry nazwisko, lecz nie wiem, czy dobrze pojąłem! Smak czy Somok. Nie zrozumiałem dobrze, bo dziwnem rzekli mi to językiem!

— Pewnie, że musi to być „Smok", kiedy pije krew młodych dziewic! — dodał Zaboj z przekonaniem.

Wyczekawszy nocy, złożyli zwłoki do normandzkiej łodzi i zaopatrzywszy się w długie żerdzie, ostrożnie, by nie być spostrzeżonymi, popłynęli w górę rzeki do Tynu.

(Teraz następuje Rozdział IV. z 38 numeru „Roli", a poniżej dalszy ciąg tego rozdziału a następnie Rozdział V. Przykrą tę omyłkę zechcą sobie sami Czytelnicy sprostować).

Płat konopnej parcianki, zwitek konopi, lub skórka łasicy, były jej zapłatą. Chowała białą kozę, która na krok jej nigdy nie odstępowała. Żywiła się jej mlekiem, oskrobywała jej rogi na różne leki, z sierści pletła amulety skuteczne w najrozmaitszych potrzebach.

Młodzieniec zwał się Skuba, należał do rodu Bogorji, gęsto osiadłego nad brzegiem w dół Wisły, a podległego władyce w Wiślicy.

Członek licznego rodzeństwa, spłodzonego przez starego Miłosza Bogorje z dwóch żon, jakie równocześnie posiadał. W domu pomagał rodzinie wyplatać łapcie na nogi z lipowego łyka, z czego ród jego słynął na całą okolicę, jako, że nikt tak kunsztownie nie umiał użyć tego cennego materjału, ogólnie używanego na obuwie.

Zwykle nad wieczorem po ukończonej pracy, biegł borem do groty Bojana Jaksy, by mu pomódz przy wyprawie skór, które przedziwnie miękko i trwale umiał przysposabiać, wysługując sobie w ten sposób nadobną Salwidę, o której ciągle marzył.

Młodzian był urodziwy, mocny, przytem członek licznego starego rodu i chociaż Bojan nie myślał się prędko rozstawać z ukochaną dzieciną, jednak przyjmował chętnie usługi Skuby i często mawiał:

— Może ci ją tam kiedy dam, jak sobie na to zasłużysz! Ja zaś na starość siędę sobie przy waszem ognisku.

Dziś wcześniej, jak zwykle wybrał się do groty.

Przebiegł jednem tchem polanę i przez zarośla dążył do swojej tęsknoty.

Stanąwszy na szczycie Wawelu, usłyszał jakieś głosy.

Zeszedł niżej i oto, co zobaczył...

Całą garścią zdrowej ręki złapał się za długie włosy i jęknął:

— Niema jej już, niema!...

Wreszcie porwał się i nie żegnając się nawet z Wiedźmą, wybiegł na pole i pognał, jakby go coś goniło przed siebie.

V.

Dniało.

Trzej Starżowie i Bojan Jaksa, niosąc na ręku trupa córki, kołatali do bramy Tynu.

Straż wnet otworzyła bramę i wskazała do świetlicy, gdzie Jugo Starża, władyka, czuwał w oczekiwaniu na wysłanych synów niecierpliwie, jakie wieści przyniosą.

Uchyliwszy zasłony pozszywanej z wyprawnej skóry niedźwiedzia, która zastępowała drzwi, weszli przodem Starżowie, a za nimi Bojan Jaksa i złożyli na środku świetlicy owinięty kożuchem drogi ciężar.

W kącie izby na kupie suchego mchu, zasłanym futrami dzikiego zwierza, spoczywał Jugo oparty głową o niedźwiedzia ulubieńca, mając dwa szczenięta wilków zwinięte w kłębek u nóg, które grzały swem ciałem jego stare kości.

Na odgłos kroków — wyczuwszy znać obcego — mruknął niedźwiedź ponuro, a wilki ze skomleniem zerwały się z legowiska i zwabione zapachem świeżej krwi podbiegły do złożonego pod kożuchem trupa, by go obwąchać wokoło.

— Kto tam? — zapytał stary.

— Starża! — odrzekł jeden z przybyłych.

Stęknął Jugo, z wysiłkiem podniósł się z posłania, usiadł na ławie pod ścianą i ręką pchnął drewnianą zasówę u okna.

Mdłe światło rodzącego się dnia wpadło do środka i słabo oświetliło obszerną komnatę władyki.

Na około ścian do kołków wbitych w gliniane klepisko podłogi przymocowane stały wygodne ławy, a naprzeciw okna na krzyżowych nogach nakryty samodziałem konopnym duży stół zastawiony glinianemi kubłami i dzbanem napełnionym pitnym miodem. Obok leżał bochen chleba czarnego, koża, — to jest krótki bronzowy nożyk — a w osobnem naczyniu drobno utłuczona sól.

Na ścianach poczernionych od starości wisiały oszczepy, łuki misternie wyrzezane z twardego drzewa, u których prężyły się jelicie cięciwy, sajdaki ze skóry kuny albo bobra, pełne, ozdobionych pierzem i bronzem zaostrzonych strzał, pęki cennych skór, a pod ławami, bodnie, ściśnięte drewnianemi obręczami, pełne szacownego dobytku zamożnego władyki.

— Zda mi się ktoś obcy z wami? — zapytał Jugo i wysilał w półmroku wzrok, nie mogąc poznać Bojana.

— Bojan Jaksa z pieczary przybył z nami! — odpowiedział Chrudosz.

— Już mi nie dopisują oczy, kiedy was nie poznałem! Siadajcie, bo gość w dom zawsze nam miły!

Zwracając się zaś do synów, zapytał:

— Jakie wieści przynieśliście!?

Zamiast odpowiedzi schylił się Wszewołod, podniósł kożuch i wskazując złożonego na podłodze trupa dziewicy, wyszeptał ponuro drżącymi od wzruszenia wargami:

— Niewesołe władyko! Przekonaj się własnemi oczami!...

Władyka, wspierając się rękami o stół, powstał i przechyliwszy się przez niego, patrzał przerażony na okrwawione zwłoki.

— Kto to? — wyszeptał.

— Twoja wnuczka Salwida!...

Ręką złapał się za pierś, poruszał szczękami chwilę jakby chciał coś mówić, wreszcie nogi ugięły się pod nim i całym ciężarem swego ciała upadł bezwładnie na ławę.

Nastała śmiertelna cisza...

Chrudesz, Wszewołod i Zaboj stali złamani troską na środku komnaty. Bojan usiadł na ławie, łokciem wsparł się na stole, ukrył twarz w dłonie i targany rozpaczą szlochał cichutko.

Po długiej dopiero chwili pierwszy Chrudesz podniósł głowę i spojrzał przed siebie. Oparty plecami o ścianę, z bezwładnie opuszczonemi rękami siedział na ławie stary Jugo. Przez do połowy przymknięte powieki błyszczały szkliste bez wyrazu oczy. Popatrzał uważniej na niego. Tknięty jakiemś przeczuciem zbliżył się prędko i ujął go za rękę. Była zimna... Chwycił go za ramię i potrząsnął nim.

— Tatusiu, tatusiu, co wam to?

Lecz głowa jego zwisła tylko bezwładnie na piersi. Nie żył...

Na uczyniony hałas zbiegli się zaspani domownicy, by ratować władykę.

I kiedy jedni zawodzili żale i palili kadzidła Marzannie, aby przebłagać bóstwo, inni położyli go na wznak, dmuchali mu do nosa, by ducha zawrócić z powrotem, a kobiety kadziły macierzanką i wilczemi pazurami.

Ale nie pomogły gusła ani czary, bo rozpacz i zgroza zabiły go skutecznie.

Nie pozostało im nic, jak pogodzić się z losem.

To też wśród ogólnego lamentu pierwszy przyszedł do siebie najstarszy syn zmarłego kulawy Sławoj, a wspomniawszy sobie, że na nim ciąży obowiązek czuwania nad sprawami rodu, dopokąd starszyzna na ogólnym wiecu nie wybierze jednego ze synów zmarłego na władykę, zwołał męskie rodzeństwo i rozkazał im zająć się przygotowaniem do pogrzebu ojca, trupa zaś Salwidy oddał białogłowom, a sam, pociągając za sobą stroskanego Jaksę, wyszedł na dziedziniec i usiadł pod lipą na głazie władyki, aby naradzić się, co czynić przeciw najazdowi wroga.

— Bogowie zsyłają nieszczęście na nasze plemię! — zaczął Sławoj. — Wróg pod bokiem morduje niewinnych, a tu władyka odchodzi za swymi przodkami! Radźcie co czynić?

Lecz Jaksa utkwił wzrok przed siebie i jakby zamarł w boleści.

— Możeby kulę posłać na opolne wiece!... — zaczął znowu Sławoj, nieśmiało, jakby nie chciał przerywać myśli Bojana, którego boleść swoją prostaczą duszą wyczuwał troskliwie.

Lecz Jaksa popatrzał na kulasa, a fala krwi nabiegła mu nagle do głowy i zaróżowiła purpurą jego lica. — Wkońcu rzekł:

— Na rady czasu mało! Władzę macie wy, boście dziedzic zmarłego! Rozesłać wici, zebrać lud i nim się Normandowie spostrzegą, wytopić ich we Wiśle!...

Sławoj popatrzał na niego z trwogą.

— Jakto? On bez rady starszych, bez zezwolenia całego opola śmiałby sam na swoją rękę rozsyłać wici i wojnę zaczynać?... Nie! Byłoby to obaleniem całej tradycji rodowej i czemś, czego sam nie mógł dobrze wyrozumieć...

— Bez wiecu?... Tego nie bywało nigdy! — wyrzekł blady Sławoj.

— Bo potrzeby nie było!...

— Obaliłbyś tradycje rodowe i obraził duchy przodków!

— Rady innej nie widzę! Ale kiedy na tradycje i duchy przodków niema rady, to tymczasem smok napadnie Tyn, pożre Starżów i Jaksów, a przed jego żelaznemi mieczami nie oprze się dębowy częstokół.

I zgrzytając zębami w bezsilnej złości, powstał i poszedł poszukać zacisznego miejsca, by w samotności wybuchnąć rozpaczą i żalem nad swoją dolą.

Sławoj z głową opartą na dłoni rozmyślał dalej nad położeniem, a słowa Bojana świdrowały mu mózg, że wątku innego nie mógł nijako ułapić.

— Smok napadnie Tyn i pożre Starżów i Jaksów!... — Ha!...

Porwał się z głazu i mruknął:

— Zwołani wiciami na potrzebę mogą przecież także coś uradzić! Ale nie, nie mogę! Bo przywłaszczyłbym sobie władzę jakiej nikt nigdy nie posiadał.

Rozglądnął się wokoło. Najmłodszy z jego braci Jarosław w tej chwili przechodził obok. Skinął na niego i poszedł z nim do świetlicy. Tu zdjął ze ściany zakrzywioną laskę i wręczając mu „kulę", wyrzekł sakramentalne zdanie.

— Opolne wici!

Jarosław zgiął się w ukłonie w pas i z namaszczeniem dumy i powagi przyjął krzywulę.

— Pamiętaj, że ani ogień, ani woda, ani dziki zwierz nie może przeszkodzić w doręczeniu starszyźnie krzywuli! — pouczał Sławoj brata. — Masz iść lisem, kretem i rybą! Spiesz do Kretyna, oddaj ją Mścisławowi, a on wie co dalej czynić!

Jarosław rozglądnął się po ścianach i wybrał łuk, sajdak ze strzałami przewiesił przez plecy, bronzową siekierkę zatknął za pas i mając w jednej ręce krzywulę w drugiej łuk, wyszedł za bramę.

Ranek.

Słońce co tylko wychyliło się zza wierzchołków drzew i piło rosę perlącą się w miljardach kropli na wysokich trawach i gęstych kępach krzewów. Zbudzone ptactwo świergotało w zaroślach, a z nad szerokiego jeziora rozlanego w płudniowo wschodniej stronie oraz z nad Wisły dolatywały głosy wodnego ptactwa, wołanie rybitw, gęganie dzikich gęsi, kwakanie kaczek, dzikich kurek, bąków i chrząścieli, żerujących w wysokich trzcinach zlewały się w taką muzykę, że tłumiły ponury szum niedalekiego boru.

Chwilę stanął nad południowym stokiem góry. Powiódł okiem po okolicy i namyślał się chwilę, jakąby obrać drogę.

Miał ich dwie przed sobą.

Jedną wzgórzem w stronę zachodnią, a potem Wisłą na tratwie w górę rzeki. Drugą krótszą przez moczary, brzegiem szeroko rozlanego jeziora.

Lecz nie namyślał się długo i prędko zeszedł po pochyłości góry i wszedł na moczary.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Legendy o księżycu.

Od niepamiętnych czasów wierzyli ludzie, że księżyc wpływa na zdrowie i losy ludzkie. Wiara ta wytworzyła tysiące legend, przechowanych w tradycji prostych ludzi.

Lud wierzy w to, że księżyc wywiera wielki wpływ na wybitne jednostki ludzkie. Lud wierzy, że od księżyca zależy w dużej mierze płeć dziecka. Równocześnie ten sam lud uważa t. zw. lunatyków za anormalnych. Wedle wersyj ludowych — którym zresztą przeczy statystyka i, badania — w miejscowościach położonych nad brzegiem morza, chorzy umierają w większej liczbie podczas odpływu morza niż przypływu.

Hippokrates, ojciec medycyny starożytnej uznawał trzy główne przyczyny pochodzenia chorób: niepokój nerwowy, reumatyzm, tj. gorączkę poranną oraz wpływ gwiazd, a wśród nich głównie, księżyca. Galileusz twierdził, że zmiany księżyca regulują pewne choroby u kobiet oraz ataki epilepsji. Kryzys choroby odbywa się w pełni księżyca.

Lekarze średniowieczni twierdzili zgodnie, że kolki nerkowe, migreny, zapalenia mózgu, appopleksje są ściśle zależne od działania księżyca. I dlatego leczono specjalnie. H. Kortez podaje następujące sposoby leczenia w „Miesięczniku obecnym i ciągłym", wydanym w r. 1632.

„Dla choleryków puszczenie krwi będzie z wielkim pożytkiem, gdy księżyc znajdzie się pod znakiem Raka, Ryby lub Skorpjona; dla flegmatyków, gdy księżyc znajdzie się pod znakiem ciepłym: dla melancholików pod znakiem wietrznym, tj. Wagi i Okrętu (?)".

Dawniejsi lekarze byli przekonani, że np. solitera można wypędzić z organizmu ludzkiego dając lekarstwo w chwili, gdy księżyc jest na niebie najmniejszy, gdyż soliter bywa wówczas najmniej odporny...

Najnowsza nauka zagranicą zaczyna obecnie zajmować się dość serjo badaniem tej kwestji, czy istotnie księżyc wpływa na organizmy ludzkie.

Francuz, lekarz dr. Hektor Grasset, propaguje np., by lekarze prowadzili w swojej praktyce specjalną statystykę zmian meteorologicznych, barometrycznych i termicznych. Lekarz ten pisze o wpływie księżyca na choroby, co następuje: „Byłem w mojej praktyce niepokojony w noce nowiu księżycowego częściej... W tym czasie, napady astmy, kolki wewnętrzne są bardzo częste, starcy narzekają na brak oddechu, chorzy na bronchity czują się znacznie gorzej itd. Największa liczba skonów u chorych chronicznie przypada na okres nowiu i śmiertelność jest stanowczo większa w okresie pełni księżyca".

Na temat wpływu księżyca na zdrowie ludzkie rozpisała niedawno ankietę wśród lekarzy, angielska gazeta lekarska „British Medical Journal".

Lekarze odpowiedzieli bardzo obficie, przytaczając wiele ciekawych szczegółów.

Prof. Thomson w sprawie rozpowszechnionego mniemania o szkodliwości snu z twarzą zwróconą w stronę księżyca wyraził wątpliwości, czy pozycja taka jest naprawdę niebezpieczna dla zdrowia.

Prof. dr. G. Stanley wyraził wprost przeciwne przekonanie. Twierdzi on, że spanie z twarzą zwróconą w stronę księżyca jest stanowczo niezdrowe. Musi księżyc oddziaływać na zdrowie ludzkie, skoro sprawia tak potężny skutek swem oddziaływaniem na wody oceanów. Zarówno w Indjach, jak i w Afryce ludzie śpią w noce księżycowe w hełmach na głowach, gdyż, jak tam twierdzą powszechnie, pełnia księżyca wpływa na człowieka w ten sposób, że wywołuje silne bóle głowy.

Naogół prawie wszyscy lekarze wypowiedzieli się, że jeżeli księżyc źle oddziaływa na zdrowie ludzkie, to tylko w krajach gorących, podzwrotnikowych. W krajach o umiarkowanym klimacie działanie promieni księżycowych nie jest tak silne i szkodliwe.

KIEDY POSZEDŁ JAŚ NA WOJNĘ...



Poszła Kasia przez las siny, szła przez góry i doliny patrzyć, czyli Jaś jedyny nie powraca do dziewczyny.

Przeszła wkrótce i bór dziki, weszła w polne słoneczniki, które błyszczą, jak ogniki, które stoją, jak strażniki.

I spogląda wdal oczyma, bo już serce jej nie strzyma tej tęsknoty, że go niema... Ach tak dawno już go niema!...

Z utęsknienia oczy płoną... Szedł Jaś z twarzą rozjaśnioną na wojenkę wymarzoną, na wojenkę upragnioną.

Z Komendantem poszedł w boje, a zostawił szczęście swoje tu, gdzie maki i powoje i brzęczących pszczółek roje.

Pod Łowczówkiem bił się śmiało, w Konarach się okrył chwałą... Choć ran w sobie miał niemało, serce kochać nie przestało.

Pisał listy do dziewczyny, pisał listy do jedynej, że zobaczy szczęście swoje, gdy się skończą krwawe boje.

Poszła Kasia przez las siny, poprzez góry i doliny patrzyć, czyli jej jedyny nie powraca do dziewczyny.

O Jasieńku swoim marzy, choć pot krwawy na jej twarzy, choć ją słońce żarem praży, o Jasieńku Kasia marzy...

I wytęża wzrok swój młody poza góry, poza wody i wpatruje się oczyma, czy jej Jaśka tam gdzie niema.

A Jaś, jako innych tysiąc, nie chcąc Niemcom wiary przysiądz, poniósł swoje rany krwawe w kraj daleki ponad Piawę.

I za obcą bił się sprawę i znów zbierał rany krwawe, póki nie padł w obcej ziemi i nie spoczął tam... z obcemi...

Próżno patrzysz Kasiu hoża, taka była wola Boża, już twój Jasio śpi bezpieczny, w obcej ziemi śni sen wieczny.

Śni o tobie, wiejski kwiecie, bo cię jedną miał na świecie, i o Polsce w grobie marzy, jaki los jej Pan Bóg zdarzy.

Słuchaj!... W borze wiatr szeleści... On od ciebie niesie wieści tam, gdzie leży twój Jaś miły... do Jaśkowej mknie mogiły...

I nad grobem jego szumi. Choć się w bujnych trawach stłumi, to mu powie twe kochanie i serdeczne twe płakanie.

Nie rozpaczaj tak, kochanie, co się stało, nie odstanie, nie powróci, co się stało, a twój luby polekł z chwałą!...

Wiem, że ciebie serce boli, że już nie masz szczęsnej doli, aleć mówię, nie rozpaczaj i do chatki twojej wracaj!

I tę Polskę, tę wspaniałą, którą tylu ukochało i za którą krew przelało, kochaj, dziewczę, duszą całą.

Choć cię smutek nie odleci, choć ci szczęście nie zaświeci, przecierp dla niej życia ciernie, służ jej zawsze, służ jej wiernie!

Służ jej pracą, służ jej czynem, cnoty skroń twą wieńcz wawrzynem, a twój luby, choć śpi w grobie, i tam będzie wdzięczny tobie.

I gdy kiedyś głos anioła na sąd wszystkich nas zawoła, staniesz wtedy przed aniołem i przed Jaśkiem z dumnem czołem.

Antoni St. Bassara.



Maciek Bzdura gada:

Ze to teraz trza więcej ziarna do siewu, przynajęli więc gospodarz Walka Grzelowego do pomocy i we dwóch mieli my otrzaskać wszyćko, co się w stodole nagromadziło. Przynajęcie to ła mnie było akurat, ale nie ła gospodarza, bo gdybym był sam młócił, tobym był wszyćko otrzaskał za tydzień, a jak my se z Walkiem zaceli pomagać, to my se pomagali bez całusieńkie dwa tygodnie. Bo juz tak jest na tem świecie, ze jak jeden sam robi, to robi, a jak mu drugi pomaga, to we dwóch więcej przegadają, niźli zrobią. Tak było i z nami.

A było o cem gadać, bo Walek zwidził kawał świata. Był nie ino w Mościskach, ale nawet w Krakowie, Krzanowie, Liskach, a pono i o Skwinę zawadził i do Suchy się zawlókł. Ale z tych wszyćkich miast najlepiej podobał mu się Krzanów, bo tam jest najwięcej żydów, to kuzden interes mozna cemduchu załatwić. Nie tak, jak w Psiej Wólce, gdzie jest ino jeden w karcmie, to ino to załatwi, co jemu się spodoba.

Straśnie mnie to dziwiło, cemu jemu się tak żydzi podobają, i ni mógem ani rus zgadnąć. Dopiero wiecorem, kiedy my zwiali zyto, zrozumiałem go dokumentnie. Waluś, nic nie padając, chciał se wziąć ćwiartkę zyta gospodarzowego i zanieść ją do karcmy, a mnie obiecał dać złotego, cobym nie widzioł, jak on to zyto bierze.

Ale ja mu padam:

— Zackaj, bratku, to się nie stanie, zebyś ty we dwoje mojego gospodarza osukiwał. Nie dość, co więcej gadas, jak młócis, tobyś się jesce chciał śniem dzielić.

— Głupiś! — powiada mi Walek. — A cy to Poniezus napisał na ziarnie, cyje ono jest? Schowa je gospodarz do kumory, to będzie jego, a jak ja je zaniesę żydowi i on je schowa, to będzie jego.

A ja mu zasie na to:

— Juz ja ta wolę być ućciwym głuptakiem, jak mądrem złodziejem.

Nazajutrz Walek z wielkiej jankurności nie chciał ani słowa przemówić. Ale nie wytrzymał długo, bo go gęba świędziała i powiada:

— Słuchaj, Maciek, a jakby ci tak twoja gospodyni kazali, żebyś ich pocałował, usłuchałbyś ich? Przecie parobek powinien wszyćko robić, co gospodyni każą?

— Cobym tam miał usłuchać! Pedziołbym im, ze od tego mają swojego gospodarza i organistę, to niech was całują. Ja się zreśtą godziłem do roboty, a nie do maćgania...

— No a jesce jedno — powiada Walek. — Jakby cię tak Kaśka, co się pono mas z nią zenić, ciągnęła do siebie, cy posedbyś?

— A bo ja wiem? — ja na to. — Jakby miała co dobrego do gęby wetknąć, tobym ta moze i posed, ale tak po durnicce, na samo gadanie, to skoda mitręgi, choć ludzie właśnie na gadaniu najwięcej casu tracą.

— Głupiś! — powiada Walek znowu. — Casem niejedno prędzej mozna wygadać, niz zrobić. Przecie wiadomo, ze jegomoście gadają, hadukaci gadają, prefesury gadają i mają więcej pieniędzy, jak ty, co cały dzień cepami śmigas! Widać, ze i gadanie potrzebne, kiedy ludzie za nie płacą.

— Teraz ja ci powiem, ześ głupi! — ja na to. — Bo jakbyś był mądry, tobyś wiedział, ze gadanie gadaniowi nierówne; za jedno płacą, a za drugie po gębie biją. Więc jak kto ma byle co gadać, to niech lepiej paje stuli, a cały świat na tem lepiej wyjdzie.

Rozgniewał się Walek na mnie i moze przez jakie dwie minuty do mnie słowa nie rzekł. Dopiero potem powiada:

— Wis co, Maciek! Kaśka nie Kaśka, a tobie przecie dzieucha potrzebna. Idzie zima i przy kiemze się, biedaku, zagrzejes? Magdzie Majcherzonce okropnie się zachciwa chłopa. Pójdziewa we cwartek do niej na zaloty, to moze co z tego będzie, a tobie wszyćko jedno Kaśka, cy Magda. Zreśtą Magda nawet wartniejsa, bo ma juz gotowego pędraka, to będzies miał, jak znalazł.

Tak mnie pocał Walek namawiać, ze choć z początku nie miałem ochoty, ale w końcu dałem się namówić i w tamten cwartek poślimy oba z Walkiem na zaloty do Magdy Majcherzonki. Jak się to stało i co z tego potem było, to wam na drugą niedzielę opowiem, a do tego casu moze grzysi Walka wezną, to mi będzie lzej na sercu.

Mazur z pod Warsiawy.



Jestem Mazur z pod Warsiawy
Nicem gorsy od Krakusa
I do śpiewki, i do dziewki
Mam ochotną zawsze duszę —
I do tańca, do różańca
Zawszeć jestem chłopak żwawy.

Oj du, du, du, grajcie dudy!
Graj muzyko z całej siły.
A ja poły zagnę wprzódy,
By mi w tańcu nie wadziły.

Nuże Maryś, pójdź haw do mnie,
A wywińwa se jednego,
Siarcystego, ognistego,
Bo miłuję cię ogromnie!
Ej, nie żałuj i pocałuj
Przytulże się Maryś do mnie.

Oj dy, dy, dy, skrzypku grajze
A wesołe, a radośne;
Dajze Maryś gęby, dajze,
Będzies moją juz na wiosnę:

Będzies moją lada dzionek,
Das mi rękę, a ja tobie —
Maryś moja nie martwze się,
Lada dzionek dam pierścionek
I zagrają nam creator
I zanuci nam skowronek.

Oj zy, zy, zy, grajcie basy!
Hejze chłopcy do zabawy.
Oj dziś, dziś, dobre casy.
Dobry Mazur z pod Warsiawy.

Kachna Ł. Łza.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Madagaskar I.



Fażankana. Widok ze strony wschodniej.

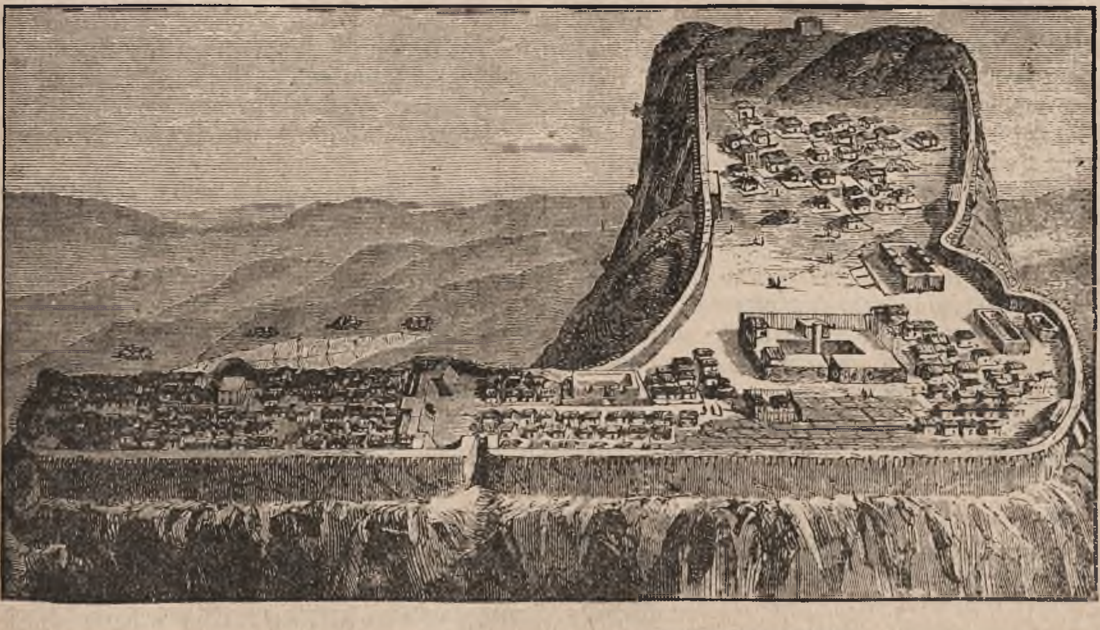
Jedna z największych wysp na świecie, leżąca niedaleko wybrzeży południowo-wschodnich Afryki, znana dawniej pod nazwą św. Wawrzyńca, nosi obecnie nazwę Madadagaskar, w narzeczu krajowem Tani-be albo Kiera-be. Jest ona większa od Francji, ale ludności ma niespełna 7 miljonów.

Cała wyspa poprzedzielana jest górami, których szczyty dochodzą do 12 tysięcy stóp, mimo to jest bardzo urodzajna, obfituje w płody południowe: trzcina cukrowa, kawa, kokosy, indygo, drzewa jedwabnikowe, bawełna, ryż, różne owoce pasów umiarkowanych i gorących. — Muóstwo znajduje się tu ptactwa barwnego i śpiewnego; między innymi odznacza się ptak, mający dar naśladowania, zwany czarną wdową; doskonale naśladuje głos ludzki, krzyk, ryk, śpiew, miauczenie zwierząt i ptaków, a nawet świst wiatru i szum burzy.

Ludność Madagaskaru składa się z kilku oddzielnych szczepów, między nimi najgłówniejsze stanowią Howasi i Sakalawi. Ci ostatni należą do najdawniej osiadłych tu ludów, pierwsi zaś mają być przybyszami z archipelagu Sundajskiego. Howasi, którzy są wojowniczego usposobienia, zdołali opanować i podbić pod swą władzę wkrótce całą wyspę. Obecnie Madagaskar jest własnością Francuzów, to znaczy, że Francuzi ciągną z niego wszelkie korzyści.

Howasi są poganami. Najwyższym ich bogiem jest Zanahara, ale modlą się do niego tylko wówczas, gdy go potrzebują. Wielożeństwo jest tam dozwolone, ale Howasi mało z niego korzystają, gdyż wskutek nadzwyczajnej łatwości rozwodów żonę można sobie niemal codziennie wymieniać. Nie znają bowiem ślubów religijnych, ale tylko śluby cywilne, a polegają one na tem, że nowożeńcy przychodzą do urzędnika i oświadczają, że się chcą pobrać. Gdy się chcą rozejść, czynią to samo i już po małżeństwie. To też żenią się i rozwodzą i po kilkadziesiąt razy. Zdarzają się nawet wypadki, że dwoje ludzi zawiera ze sobą małżeństwo dwa i trzy razy i tyleż razy się rozwodzi.

Ubiór mieszkańców jest bardzo pojedynczy. Biodra przepasują kawałem płótna sięgającym do kolan, na ramiona zarzucają drugi kawał dłuższy i szerszy, coś na podobieństwo togi rzymskiej; kobiety noszą nadto rodzaj kaftana. Miastem stołecznem jest Tananarywa, co znaczy »miasto o tysiącu siół«. Zbudowane na wyżynie, wznoszącej się na 200 metrów nad doliną składa się z wielkiej liczby domków, rozmieszczonych grupami na jej stokach. Domki w samem mieście są drewniane, na przedmieściach z gliny. Dzięki położeniu miasta ulewy zwrotnikowe utrzymują jakie takie ochędóstwo



Fażankana warownia. Widok ze strony zachodniej.

i sprawiają, że ludność siedmdziesięciotysięczna nie jest dziesiątkowana przez choroby.

Jeszcze ciekawszem miastem jest warownia Fażankana. Uchodzi ono za cud przyrody. Widzimy je na naszych obrazkach. Pierwszy z nich przedstawia je ze strony wschodniej. Ponad równiną, gdzie się pasą woły howaskie, wznosi się ogromna góra, osłaniająca miasto. Pośród niej sterczy olbrzymia w poprzecznym kierunku wychodząca skała. Z drugiej strony góry, jak to widać na drugim obrazku, leży samo miasto. Bryła kamienna w formie sześciennej, wzniesiona na szczycie góry, nie jest, jakby się komu zdawało, jakimś grobowcem, ale honorowem siedzeniem dla naczelnika kraju.

Na wierzchu murów obronnych widać dokoła regularnie umieszczone ostre a mocne pręty. Są one przywalone kamieniami ruchomemi w ten sposób, że gdyby nieprzyjaciel chciał się po nich wspinać, zwaliłby na swą głowę te ciężkie kamienie.

Są tu właściwie dwa miasta odrębne: miasto północne czyli cytadela po lewej stronie i miasto pierwotne południowe po prawej stronie. W środku tego drugiego miasta znajduje się wielkie zabudowanie, otoczone sztachetami, które jest siedzibą naczelnika. Dziedziniec środkowy, otoczony amfiteatrem, służy do zabaw i uroczystości ludowych, którym się z terasów przypatrują z zajęciem rodziny wyższych stanów.

Może niejednemu z naszych Czytelników nie wiadomo, że królem tego Madagaskaru był Polak Maurycy Beniowski. Beniowski po śmiałej ucieczce z niewoli moskiewskiej na Kamczatce dostał się na Madagaskar. Zwiedziwszy wyspę udał się do Francji i tak wymownie przedstawił rządowi francuskiemu korzyści, mogące wypłynąć z zaboru wyspy, iż uzyskał dowództwo nad wyprawą. W roku 1774 Beniowski wylądował na Madaskarze i w ciągu dwóch lat pozakładał zbrojne stanowiska na wybrzeżach wschodnich i tak umiał zjednać sobie ludność miejscową, iż wiec, złożony z 22 tysięcy krajowców, zawarł z nim najpierw przymierze, a potem oznajmiono mu, że tubylcy uznają go swoim królem.

W roku 1785 przyszło jednak do zatargu pomiędzy Beniowskim a Francuzami, którzy wysłali do Madaskaru okręt wojenny. W pierwszej utarczce Beniowski został ugodzony kulą, padł i tak skończyło się panowanie Polaka na tej wielkiej wyspie. Ale i Francuzi nie odnieśli zbyt wielkich korzyści z tego. Podczas wielkiej rewolucji francuskiej Francuzi zapomnieli nawet, czy Madagaskar istnieje. Kolonje zabrali im, jak wiadomo, Anglicy, a więc i Madagaskar, który jednak zwrócili im na mocy traktatu w r. 1814.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

N. GOGOL.

Tłomacz. z rosyjskiego J. Gazda.

Soroczyński jarmark.

(Opowiadanie starego Kozaka.)

VIII.

Przestrach opanował wszystkich w chacie, kum z rozdziawioną gębą, jakby się zamienił w słup soli, oczy wybałuszył, a rozłożone palce u rąk zamarły mu w powietrzu.

Nagle w panicznym strachu podskoczył pod sufit i uderzył głową o prycze. Deski obsunęły się i popa syn z hukiem i trzaskiem runął na ziemię.

— Oj jej! — krzyknął niemiłosiernie jeden z obecnych, powaliwszy się na ławę, i zaczął wymachiwać w powietrzu rękami.

— Ratujcie! — krzyczał drugi, zakrywszy się tułupem.

Kum, ochłonąwszy nieco z przestrachu, popełznął drżąc na czworakach pod spodnicę kumy, a wysoki bohater, nie zważając na wąski otwór, wlazł do pieca i zasłonił się zakrywką. Czerewik jakoby oblany wrzącą wodą, wsadziwszy na głowę z pośpiechu garnek zamiast czapki, rzucił się jak szalony ku drzwiom i biegał po ulicach, nie czując pod sobą ziemi. Dopiero zmęczenie zmusiło go zwolnić biegu, serce mu tłukło jak kołatka w młynie i pot się lał rzęsiście z niego. Wkońcu ze zmęczenia ledwie już przebierał nogami, gdy posłyszał, że ktoś pędzi za nim.

— Djabeł, djabeł! — zaczął krzyczeć przerażony, potrajając bieg, i za chwilę upadł na ziemię.

— Djabeł, djabeł! — krzyczało coś za nim, i w tej chwili upadło z hukiem na niego.

Czerewik, jak martwy, leżał na ziemi.

IX.

— Słyszysz Włas — mówił jeden, podniósłszy się ze snu nocnego na ulicy — ktoś około nas wypomniał djabła.

— A mnie co do tego — zamruczał, przeciągając się leżący obok cygan — choćby i wszystkich swoich rodziców wypomniał!

— Ale tak zakrzyczał, jakoby go kto dusił.

— Mało się to głupstw przywidzi człowiekowi na śnie?

— Wola twoja, ale choć popatrzeć! Trzeba skrzesać ognia!

Drugi cygan, mrucząc, wstał na nogi, skrzesał ognia, wargami rozdmuchał hubkę, i z kagankiem zwyczajnym małorosyjskim napełnionym baranim łojem — poszedł oświecać drogę.

— Zaczekaj! Tutaj ktoś leży — poświeć tutaj!

Do cyganów zbliżyło się jeszcze kilka osób.

— Co tu leży, Włas?

— Tak wygląda, jakoby dwóch ludzi: jeden na wierzchu, a drugi pod nim. Ale, który z nich djabeł trudno rozpoznać.

— A kto na wierzchu?

— Baba!

— Ano to jest djabeł!

Wokoło rozległ się śmiech.

— Baba wlazła na chłopa, a przecież wiadomo, że baba umie jeździć na chłopie — dowcipkował jeden z tłumu.

— Patrzcieno ludzie! — mówił jeden, zdejmując czerep z głowy Czerewika, u którego zostało jeszcze połowę garnka na głowie — jaką to czapkę nałożył sobie ten poczciwy człowiek!

Ogólny śmiech i krzyk ocuciły dwoje nieboszczyków: Czerewika i jego żonę, którzy nie ochłonąwszy z poprzedniego strachu, długo patrzeli zdziwionemi oczyma na smugłe oblicza cyganów, którzy w słabem oświetleniu ukazali im się, jako straszny sen upiorów podziemnych w mrokach ciemnej nocy.

X.

Świeże powietrze poranne przebudziło Syroczyńcan — kłęby dymu unosiły się w górę z kominów na spotkanie wschodzącego słońca, jarmark ożył, owce zabeczały, konie zarżały, krzyk gęsi i przekupek, hałas poniósł się na nowo nad miastem, i straszne słu-

chy o *czerwonej świtce,* które narobiły tyle strachu ludziom w czasie ciemności nocnej, z nastaniem dnia znikły.

Ziewając, przeciągał się Czerewik u swego kuma w szopie między wołami, worami pszenicy i mąki. Wtem posłyszał głos tak dobrze znajomy:

— Wstawaj! wstawaj! — skrzeczała mu nad uchem jego delikatna żona, szarpiąc go z całej siły za rękę.

Czerewik, zamiast odpowiedzi, zaczął machać rękami, jakoby wybijał na bębnie.

— Warjat! — krzyknęła, uchylając się od jego ręki, którą omało nie zawalił jej w gębę.

Czerewik podniósł się, a przetarłszy oczy, rozglądnął się wokoło.

— Niech mnie licho weźmie, jeżeli twoja gołąbko gęba nie przedstawiła mi się, jako bęben, na którym kazali mi Moskale bębnić na budzenie tych świńskich mord, o których opowiadał kum...

— Dosyć, już dosyć głupstwa pleść! Marsz! Kobyłę prowadź na sprzedarz. Doprawdy na śmiech dla ludzi przyjechaliśmy na jarmark, a choćby za grosza co sprzedać.

— Jakżesz to żonko! teraz będę się z nas śmiać.

— Idźże idź! Z ciebie i bez tego się śmieją.

— Widzisz, że ja się jeszcze nie umyłem — ciągnął dalej Czerewik, ziewając i drapiąc się po plecach, pragnąc jeszcze trochę czasu wytargować dla swego lenistwa.

— Otóż w sam raz przyszła ci chętka być czyściutkim! Odkąd że to znowu zacząłeś się o siebie starać? Otóż ręcznik, obetrzyjże swoją maskę.

Wtem złapała coś zwinięte w kłębek i... z przestrachem odrzuciła od siebie. Była to czerwona obszywka od świtki.

— Teraz będzie sprzedaż! — mruczał do siebie pod nosem, odwiązując kobyłę i prowadząc na targ. — Nie darmo, kiedy się wybierałem na ten przeklęty jarmark, było mi na duszy tak ciężko, jakby kto przywalił zdechłą krową, a nawet woły dwa razy same nawracały do domu. A tu, jak mi się zdaje, to my jeszcze w poniedziałek przyjechali. Ale cóż! Jak się licho uweźmie! Nieposkromiony czart przeklęty nosiłby już choć i bez rękawa swoją świtkę, jak już nie może odszukać drugiego i dałby już spokój dobrym ludziom. Gdyby ja tak, czego broń Boże, był djabłem — czyby mnie się to chciało szukać po nocach przeklętych strzępów od świtki?

Wtem filozofowanie Czerewika zostało przerwane grubym i gromkim głosem, a równocześnie stanął przed nim wysoki cygan.

— Co sprzedajesz, dobry człecze?

Czerewik popatrzył na niego i odrzekł spokojnie, nie puszczając uzdy z rąk.

— Widzisz przecie, co sprzedaję!

— Rzemyczki! — rzekł, patrząc na trzymaną w ręce Czerewika uzdę.

— Tak rzemyczki! Jeżeli u ciebie kobyła podobna do rzemyczków.

— Jednakże, niech djabli wezmą, jak widzę, to ty ją słomą karmił.

— Słomą? — zapytał zdziwiony Czerewik i chcąc pokazać cyganowi, że łże, pociągnął za uzdę, lecz, o zgrozo, przekonał się, że dzierży w ręce tylko kawałek uciętej uzdy, do której był przywiązany kawałek rękawa *czerwonej świtki.*

Splunął, przeżegnał się, i machając rękami, popędził od niepożądanego podarunku i znikł w tłumie narodu.

XI.

— Łapać go, łapać! krzyczeli chłopaki w ciasnej ulicy, i Czerewik poczuł wkońcu, że go trzymają silne ręce.

— Wiążcie go! To ten sam, który ukradł porządnemu człowiekowi kobyłę.

— Boże uchowaj! Za co wy mnie bierzecie?

— On się jeszcze pyta! A poco ty ukradł kobyłę u przyjezdnego chłopiny Czerewika?

— Rozum potraciliście chłopcy, czy co? kto kiedy widział, ażeby ktoś sam sobie ukradł?

— Znamy takie żarty! A dlaczegoś ty uciekał, jak warjat, albo jakby sam szatan pędził za tobą?

— Acha! gołąbku dostanie ci się jeszcze od burmistrza za to, ażebyś nie straszył ludzi djabelstwem.

— Łapać go łapać! — dał się słyszeć głos z drugiego końca ulicy. — Ale ci też to biegacz!

Wtem oczom Czerewika ukazał się jego kum, w bardzo przykrem położeniu, ze związanemi w tył rękami. Prowadzili go chłopaki.

— Cuda się dzieją! — krzyczał jeden z gromady — posłuchalibyście, co powiadał ten wagabunda, któremu wystarczy tylko popatrzeć na gębę, a zaraz można poznać, że to złodziej. Kiedy się go pytamy, dlaczego uciekał, to on, jak półgłupek, sięgnął do kieszeni po tabakierkę, i zamiast tabakierki wyciągnął kawałek djablej *świtki,* od której buchnął czerwony ogień, o dalejże w nogi.

— Acha! he he he he! taż to z jednego gniazda oba ptaszki. — Wiązać ich obu!

XII.

— A możeś ty kumie i naprawdę co ściągnął? — zapytał Czerewik, leżąc związany z kumem pod słomianą szopą.

— I ty tutaj kumie? Żeby mi tak obie ręce i nogi uschły, jak ja kiedy co komu ukradł!

— Zaco to taka napaść na nas, kumie? Co do ciebie, to ta jeszcze nic, bo ciebie obwiniają, żeś ukradł, ale mnie nieszczęśliwemu zaco to nieszczęście? Cóż ja sam sobie ukradł kobyłę? Jak widać, kumie, to mam już od urodzenia zapisane nie mieć szczęścia w życiu.

— Oj bieda nam sierotom nieszczęsnym.

I obaj kumowie rozbeczeli się w głos.

— Co to z wami Sołopiej? — zapytał wchodzący natenczas Hryćko. — Któż to was tak związał?

— O dla Boga! Gołopupieńko, Gołopupieńko, — zawołał uradowany Sołopiej. — Widzicie kumie, to ten, o którym ja wam opowiadał. Ot kawaler! Niech mnie tu tak na tem miejscu Bóg skarze, jeżeli nieprawda, że przy mnie taki ci kubek wódki golnął, jak twoja głowa, i nawet się nie skrzywił wcale.

— A dlaczegoż ty kumie z nim tak niehonorowo postąpił — obiecał i odmówił, takiemu sławnemu kawalerowi swej córki?

— A no widzisz — odparł Czerewik, obróciwszy się do Hryćka. — Skarał mnie Bóg, że przeciw tobie zawiniłem. Daruj, dobry człowiecze! Bóg widzi, radbym wszystko zrobić dla ciebie, co ty tylko zechcesz, ale w mojej starej djabeł siedzi.

— Ja krzywdy nie lubię pamiętać Sołopieju! Oswobodzę was!

To mówiąc, Hryćko dał znak chłopakom, i ci sami, którzy ich dotąd pilnowali, teraz ich rozwiązali.

— Za to wy teraz zróbcie wesele świetne, na którem zabawimy się tak, żeby od kozaczka cały rok nogi bolały.

— Dobrze! oj dobrze! — odrzekł Sołopiej, złożywszy ręce. — Tak ci mi się teraz zrobiło wesoło na duszy, jakoby moją starą Moskale zabrali! Zresztą, co się tu namyślać, wypada czy nie wypada, jednak dziś jeszcze wesele i kamień w wodę.

— A więc uważaj Sołopiej, za godzinę ja przyjadę do was, a teraz idźcie do domu: tam czekają kupcy na pszenicę i kobyłę.

— Jakże to! Więc kobyła się znalazła?

— Znalazła.

Czerewik od radości stał nieruchomy i patrzył za odchodzącym Hryćkiem...

— A co, Hryćko! Czy źle obrobiliśmy twoją sprawę? — rzekł wysoki cygan do Hryćka. — Więc woły teraz moje.

— Twoje! Twoje!

XIII.

Podparłszy sobie okrągły podbródek ręką, siedziała Paraska sama w chacie. Nawał myśli snuło się jej po głowie. Czasami lekki uśmieszek drgnął na jej usteczkach, i jakieś radosne uczucie podnosiło jej ciemne brwi, a czasem obłoczek zadumania opuszczał się na jej czarne oczka.

— Co będzie, jeżeli się nie stanie tak, jak on mówił? — szeptała z pewnem powątpieniem. — I co, jeżeli mnie nie wydadzą zamąż — jeżeli... nie! O nie! do tego nie przyjdzie! Macocha robi tak, jak jej się podoba. Czy i ja nie mogę również robić, co się mnie spodoba? I jak ja zechcę, uprę się i musi być na mojem. Jakiż on ładny, jak cudnie gorące i ładne jego oczy! jak on ślicznie do mnie mówił: „Parasiu! gołąbko!“ — Jakżeż jemu w tej białej świtce ładnie. Tylkoby pas mógł być więcej pstry! — Ale już ja jemu wytkam ładniejszy, gdy będziemy żyć razem w jednej chacie! — Co to za uciecha będzie dla mnie.

Mówiąc to wyjęła z za pazuchy lusterko, oklejone czerwonym papierkiem, które kupiła na jarmarku i patrzała w nie z nietajoną przyjemnością.

— O tak! — mówiła dalej — macocha sobie za dużo nademną pozwala! Ale teraz prędzej piasek na kamieniu zejdzie, prędzej zegnie się dąb do wody jak łoza, aniżeli ja przed tobą się ukorzę!

Mówiąc to, Paraska z całą lubością wpatrywała się w lusterko, obserwując swe dorodne kształty.

— Ciekawa jestem, czy mi w czepcu będzie do twarzy? Narazie przymierzę czepiec macochy — dodała, a podszedłszy do skrzyni machochy, wyjęła z niej czepiec i ustroiła nim swą głowę.

Rozradowana poczęła przytupywać nogami — coraz dalej i coraz śmielej, rękę opuściła i ujęła się w bok, i dalejże w tan, pobrzękując podkówkami, trzymając przed sobą lusterko, a wreszcie zanuciła swą ulubioną piosenkę:

Zielony barwineczku
  ściel się niziusieńko!
A ty miły czernobrewy
  przysuń się bliziеńko!
Zielony barwineczku
  ściel się jeszcze niżej!
A ty czernobrewy
  przysuń się jeszcze bliżej!

Gdy Paraska tak pląsała, w drzwiach ukazał się Czerewik. Ujrzawszy córkę tańczącą z lusterkiem, zatrzymał się — długą chwilę stał, śmiejąc się z niewinnej zabawy dziewczęcia, które, zamyśliwszy się, nie spostrzegło patrzącego nań ojca. W nim zaś, kiedy usłyszał znajomą nutę piosenki, poruszyły się wszystkie żyły. Ująwszy się więc pod boki, puścił się i on w *przysiadkę,* zapomniawszy o wszystkich interesach.

Głośny śmiech kuma zatrzymał ich oboje wystraszonych.

— Ocho! ładnie, ładnie! Ojciec z córką rozpoczęli wesele! — A wyjdźcież no prędzej naprzeciw, bo kawaler przyszedł.

Przy ostatniem słowie Paraska zaczerwieniła się silniej, aniżeli jej wstążka wpleciona w głowę, a przezorny ojciec przypomniał sobie, po co przyszedł kawaler.

— A więc córko! chodźmy prędzej! Hiwra z radości, żeśmy sprzedali kobyłę, pobiegła (co mówiąc spojrzał przez okno) kupować płachty, garnki i wszelkie szmatki, więc musimy, zanim wróci, skończyć ze wszystkiem.



Ująwszy się pod boki, puścił się i on w przysiadkę.

Jeszcze nie zdążyła Paraska przestąpić progu, a już się poczuła w rękach kawalera w białej świtce, który z gromadą ludzi oczekiwał jej na dworze.

— Boże was błogosław! — rzekł Czerewik, ująwszy ich ręce. — Niechaj żyją i wianki wiją!

Wtem dał się słyszeć krzyk między ludźmi.

— Niech prędzej pęknę, aniżeli dopuszczę do tego! — krzyczała żona Czerewika, którą jednakże ze śmiechem odpychała kupa narodu.

— Nie rób głupstw! Nie rób głupstw! — uspokajał ją Czerewik, widząc jak dwu silnych cyganów złapało ją za ręce. — Co postanowione, to przepadło! Ja nie lubię zmieniać zdania.

— Nie! nie! Do tego nie dopuszczę! — krzyczała Hiwra — jednak nikt jej nie słuchał, kilka par obstąpiło młodą parę, przez co uczynili mur tańczących do nieprzełamania.

Zresztą nikt więcej nie zwracał uwagi. Kiedy przygodny muzykant pociągnął smyczkiem po strunach, wszystko, co żyło, w zgodzie i łączności ruszyło w zawrotny tan. A tańczyli nietylko młodzi, ale i staruszki przytupywały nogami, uwijając się wśród młodych i kipiących życiem, jakby sobie minioną bezpowrotnie przeszłość przypomnieć chciały. A jedynie ten i ów, dobrze już podpity, kiwał w takt rozbrzmiewającej muzyki.

Wreszcie krzyk, śmiech i śpiewy poczęły milknąć, muzyka grała coraz słabiej, smyczek zamierał i gubił niewyraźne tony w gęstem powietrzu.

Gdzieniegdzie słychać było jeszcze tupanie tańczących, coś na podobieństwo uderzenia fal oddalonego morza, — ale wkrótce i to ucichło, a stało się pusto i głucho.

A było tak pusto i głucho, jak nieraz w życiu naszem, kiedy jakiś radośniejszy oddźwięk stara się odtworzyć minioną przeszłość. Na chwilę stanie przed oczyma naszemi jej zjawa, a potem robi się smutno i pusto na sercu, a smutkowi temu nikt zaradzić nie zdoła.

KONIEC.



Poradnik gospodarczy.

O siewie ozimin.

Odpowiednia i właściwa pora zasiewu ozimin, zatem żyta i pszenicy posiada dla ich rozwoju bardzo doniosłe znaczenie. Każde z tych zbóż ma swoje odrębne właściwości, które gospodarz przy wysiewie uwzględnić musi. Przedewszystkiem unikajmy jednego błędu — nie żądajmy od ziemi tego, czego ona dać nam nie może. Innemi słowami — wysiewajmy tylko takie zboża, które na odnośnych polach wydadzą pewny dobry sprzęt, bo ziemia nie znosi przymusu. Nie uprawiajmy zatem pszenicy tam, gdzie tylko dobre żyto urodzić się może, które z pewnością wyda więcej opłacalny sprzęt, jak przymuszona a z wielkim nakładem pielęgnowana pszenica. Unikniemy w ten sposób wielu przykrych zawodów i strat.

Żyto zakorzenia i krzewi się najsilniej już w jesieni. Dlatego powinno być zasiane w najwłaściwszym u nas terminie od 15 do 30 września. Jako najpierwsze trzeba zasiać żyto na lżejszych niezasobnych ziemiach, dalej żyta po kłosowych i strączkowych, a dopiero w samym końcu te żyta, które znajdą w roli szczególnie korzystne warunki. Tu późny siew bywa zawsze najpewniejszy. Zbyt wczesny zasiew na początku września powoduje u żyta nadmierne wybujanie przed zimą, narazi je na wyprzenie pod śniegiem, a przedewszystkiem na poważne szkody wyrządzane już w jesieni przez t. zw. muchę heską. Pewnych sposobów na tępienie tego szkodnika niema. Ale doświadczenie uczy, że napastuje on przeważnie tylko bardzo wcześnie zasiane żyto.

Ilość wysiewu na morgę zależy przedewszystkiem od sposobu wysiewu oraz od jakości ziarna i gleby. Siew rzutowy wymaga więcej ziarna, jak rzędowy. Na dobrą mierzwą lub zielonym albo sztucznym nawozem zasilonej roli, gdzie można się spodziewać bujnego rozrostu żyta, będzie wskazany siew rzadki — na ubogiej niezasobnej ziemi zaleca się trochę gęstszy siew. O ilości zatem wysiewu rozstrzygną zawsze dokładna znajomość własnej gleby i doświadczenia z ubiegłych lat. W włościańskich gospodarstwach wysiewa się zazwyczaj u nas w dobrem normalnem ziarnie rzędnikiem od 40 do 60 funtów, a szerokorzutnie od 60 do 80 funtów na morgę.

Żyta po ziemniakach nie powinno się siać, jeżeli do tego nie przymuszają wyjątkowe warunki. Sproszkowana zazwyczaj po wybraniu ziemniaków ziemia oraz dość późny siew nie sprzyjają rozwojowi żyta, które wręcz przeciwnie lubi dobrze odleżałą rolę i już w wrześniu uskuteczniony zasiew. Pomimo tego zachodzi w praktyce często konieczność uprawy żyta po ziemniakach zwłaszcza w gospodarstwach gorzelniczych, gdzie trudno jest nieraz tak płodozmian ustalić, aby żyto nie następowało po kartoflach. Dalej przemawia za takim siewem na wszystkich bardzo lekkich ubogich ziemiach narażonych na zgubne działanie suszy doświadczenie, że żyto na takich rolach po ziemniakach wyda zawsze jeszcze lepsze sprzęty, niż jarzyna!

Przy uprawie żyta po ziemniakach trzeba cały nacisk na to położyć, aby siew nie był dokonany w zbyt spulchnioną rolę. Dlatego nie powinno się nigdy ziemniaczysk orać. W większości wypadków wystarczy najzupełniej puszczenie bron sprężynowych na poprzek byłych radlonek i jednorazowe zbronowanie roli, w którą zasiew żyta rzędownikiem natychmiast nastąpić powinien. Byłoby błędem po zasiewie użyć lekkich bronek, bo one zanadto ugładzą ziemię, czego żyto nie znosi. Wytworzone przez radełka rzędownika zagłębienia i wywyższenia na powierzchni roli będą stanowić dla młodych roślinek podczas zimy najlepszą ochronę od mrozu i wiatru.

(Dokończenie nastąpi).

Poradnik lekarski.

Białe upławy. Przyczyny powstawania białych upławów u kobiet są najrozmaitsze, więc i leczenie ich będzie zależne od powodów ich powstania, a to oznaczy po dokładnem zbadaniu najlepiej lekarz. We wszystkich jednak wypadkach dobrym jest proszek z kory dębowej w małym płóciennym woreczku, lub gąbka namoczona w odwarze z kory dębowej, zastosowane miejscowo; nadto przestrzykiwanie 1% rozczynem ałunu, czopki z drożdży, ciepłe kąpiele.

Astma występuje samoistnie lub w związku z innemi chorobami. Objawia się przez nagłe napady duszności, trwogę, ściskanie w piersiach. Napad taki trwa od 10 minut do kilku godzin. Gdy tylko objawią się pierwsze oznaki napadu, należy natychmiast porozpinać ubranie, a okna tworzyć, zaś twarz chorego skropić zimną wodą, piersi i plecy silnie natrzyć, a potem robić gorące okłady. Dobrze jest pić przez dłuższy czas herbatę z krwawniku.

U dzieci astma występuje najczęściej w postaci kurczu krtani. Gdy nastąpi atak, należy twarz dziecka skropić zimną wodą, natrzeć ramiona i nogi octem, wodą kolońską, lub spirytusem, zawinąć ręce i nogi w ręcznik, zmaczany w ciepłej wodzie. Można też dawać herbatę z krwawnika, jak i starszym.

Blednica powstaje zwykle po chorobach wycieńczających lub z powodu złego odżywiania, a także zepsutego powietrza, zmartwienia, nadużywania kawy lub herbaty i t. p. Blednica rozwija się powoli, a chorzy zjadają chętnie kredę, mur, węgiel, ołówki i t. p. Najlepszem lekarstwem jest świeże powietrze i dobre odżywianie się, unikanie wysiłków fizycznych i umysłowych, kąpiele słoneczne lub rzeczne. Jeść jabłka, w które wbito parę gwoździ i upieczono, pić lekkie wino, w którem namoczono opiłki żelazne. Do potraw dodawać selerów, pietruszki, szczawiu i t. p. Dobrą też jest herbatka z mieszaniny ziół: pokrzywy, tataraku, jałowcu, goryczki i kwiatu lipowego.

KRONIKA.

Od Administracji. Do dzisiejszego numeru „Roli“ dołączamy czeki wszystkim naszym Prenumeratorom kwartalnym jakoteż półrocznym i rocznym, przyczem prosimy wszystkich tych Prenumeratorów, którzy prenumeratę mają zapłaconą do końca roku, aby załączonego czeku nie niszczyli, ale starali się użyć na jednanie „Roli“ nowych prenumeratorów. Prosimy też o podanie nam Kółek Rolniczych i sklepów, w których „Rola“ mogłaby mieć zbyt, a po kilka egzemplarzy na próbę wyślemy. Jest wielu takich, którym prenumeratę ciężko wysłać, ale pojedyncze egzemplarze chętnieby kupowali. Tych, którzy znają „Rolę“, nie trzeba zachęcać, gdyż wiedzą, że za skromne 12 zł rocznie otrzymują księgę, obejmującą przeszło 1.000 stron druku, w której mieści się kilka dłuższych powieści, setki krótszych powiastek, opowiadań, legend, bajek i t. p. a nadto wielka liczba ilustracyj. Zachęcając znajomych, należy zwrócić uwagę, że inne gazety za tę samą cenę nie dają ani połowy tego do czytania, co „Rola“.

Pożar w parku miejskim w Gorlicach. Dnia 16 b. m. nad ranem spłonął doszczętnie drewniany budynek, mieszczący restaurację letnią w parku miejskim im. Wojciecha Biechońskiego w Gorlicach. W ogromnem niebezpieczeństwie znalazł się przepiękny przeszło 30-morgowy park miejski im. Wojciecha Biechońskiego o łatwopalnym iglastym drzewostanie, jak świerk, sosna, jodła i modrzew. Niebezpieczeństwo było tem większe, iż spalony budynek stał tuż u podnóża góry parkowej, pokrytej gęsto drzewem iglastem. Całe szczęście, że sam budynek obsadzony był drzewem liściastem, nie dopuszczającem żaru do drzew iglastych, a nadto panowała w powietrzu zupełna cisza, skutkiem czego płomienie nie poruszane najlżejszym nawet wiatrem, wznosiły się prostopadle w górę. Dotkliwe straty poniósł dzierżawca restauracji parkowej, Kazimierz Kulczycki, któremu spaliło się całe wewnętrzne urządzenie lokalu restauracyjnego i duży zapas środków spożywczych.

Potwory w ludzkiem ciele. Jeszcze przed trzema laty znikła we Lwowie z jednego z domów mieszczańskich 5-letnia dziewczynka. Matka rozpaczała, aż popadła w silny rozstrój nerwowy. Nieszczęśliwa podróżowała po miastach Małopolski, poszukując zaginionego dziecka. Ostatnio, będąc w Żółkwi. natknęła się na jakieś ociemniałe dziecko, zbierające jałmużnę obok kościoła. Kobieta wręczyła dziewczynce 20 groszówkę, poczem zapytała, jak się nazywa. Gdy dziewczynka podała imię, okazało się, iż jest ono identyczne z imieniem córecki. Po dłuższem badaniu dopiero matka poznała własne dziecko. Okazało się, iż dziewczynkę porwali żebracy, pozbawili ją wzroku celem łatwiejszego pobudzenia litości i osiągania jałmużny. Sprawą zajęły się władze policyjne w Żółkwi.

Olbrzymi pożar w Worochcie. W nocy z 17 na 18 bm. wybuchł w tartaku Jonasa Jahra w Worochcie. pow. Nadwórna pożar, wskutek czego spaliły się doszczętnie urządzenia tartaczne, magazyny, budynek mieszkalny, urządzenie młyna parowego, oraz materjały leżące na składzie na przyległym obok tartaku placu. Szkoda wynosi około pół miljona zł. Przyczyna pożaru na razie nieznana.

Pożar miasteczka. W miasteczku Karczew pod Warszawą wybuchł straszny pożar, który zniszczył 53 budynki, a 200 osób pozostawił bez dachu nad głową. Pożar powstał w ten sposób, że w oborze gospodarza Tomasza Walcza kilkoro dzieci goniło króliki, które schowały się do nory. Chcąc wyśledzić króliki w kryjówce, jedno z dzieci zaczęło zapalać zapałki, czyniło to jednak tak nieostrożnie, że od płonącej zapałki zajęła się słoma. Płomienie przerzuciły się na ścianę obory i wkrótce cały budynek osnuty został gęstym dymem. Wiatr przerzucił ogień na dachy sąsiednich domów i obór. W krótkim czasie stanęły w ogniu 53 budynki gospodarskie. Akcja ratunkowa musiała się ograniczyć do zabezpieczania budynków sąsiednich. Pożar trwał 5 godzin. Ostatecznie spłonęło 9 domów mieszkalnych, 18 stodół zapełnionych zbiorami, 26 obór. 42 rodziny w ogólnej liczbie 200 osób zostało bez dachu nad głową. Jednocześnie na drugim końcu osady wybuchł drugi pożar na cmentarzu żydowskim. Najprawdopodobniej skutkiem podpalenia zajęła się trupiarnia. Zanim przybyła straż ogniowa, niewielki budynek drewniany spłonął doszczętnie.

Nieludzka córka. Koło wozowni przy ul. Węgierskiej w Warszawie znaleziono zwłoki wiszącego starca. Zawezwany lekarz pogotowia stwierdził, iż starzec powiesił się w nocy i skonstatował śmierć. W toku dochodzeń policja ustaliła, że był to Antoni Szostak, lat 63, zamieszkały u swej córki na Okęciu. Staruszek był niezdolny do pracy i życie jego było bardzo ciężkie, gdyż córka jego wymawiała mu na każdym kroku jego niedołęstwo. Kiedy jednego dnia wieczorem córka stanowczo oświadczyła ojcu, że nie chce go mieć w domu, polecając mu iść, dokąd go oczy poniosą, nieszczęśliwy starzec dowlókł się do ulicy Węgierskiej i tam koło wozowni na drzewie popełnił samobójstwo.



Pod drzewem znaleziono kartkę, na której nieszczęśliwy napisał powód rozpaczliwego kroku.

Majątek za śmierć. W ubiegłym miesiącu uległ strasznej katastrofie kurjer Paryż—Warszawa na terenie niemieckim koło Kolonji (Koeln am Rhein). Winę tej katastrofy ponosi jeden z niemieckich funkcjonarjuszy kolejowych. Rodzina zabitego w tej katastrofie koło Kolonji Henryka Gruensteina, właściciela wielkiego składu w Warszawie, otrzyma dość wysokie odszkodowanie. Zmarły był ubezpieczony w jednem z towarzystw ubezpieczeniowych na sumę 16 tysięcy dolarów. Z drugiej zaś strony rodzina ma prawo domagać się od kolei niemieckich odszkodowania. Wedle przepisów odszkodowanie to powinno wynosić tyle, ile zabity zarobiłby w ciągu 10-ciu lat. Ponieważ roczny dochód zmarłego kupca wynosił przeciętnie 10 tysięcy dolarów, zatem odszkodowanie kolei niemieckich będzie sięgać sumy 100.000 dolarów, czyli rodzina otrzyma 116.000 dolarów.

Napad Litwinów na kościół. W uroczystość Najświętszej Marji Panny we wsi Bobły w powiecie kowieńskim napadli Litwini na ludność polską zgromadzoną w kościele. Początkowo Litwini nie chcieli dopuścić do śpiewu w języku polskim. Gdy ilość Polaków zwiększyła się, wkroczyli z orkiestrą do kościoła i stłumili w ten sposób śpiewy polskie, a następnie rzucili

się na bezbronną ludność, a zwłaszcza na kobiety, wyciągając je za chustki i włosy z kościoła. Policja litewska, wezwana przez proboszcza Baskisa, nie interwenjowała i ukryła się w miasteczku. Gdy została garstka Litwinów, ks. Baskis, oburzony sprofanowaniem świątyni, wszedł na ambonę i oświadczył, że kościół zamyka do czasu rozporządzenia kurji arcybiskupiej i polecił Litwinom kościół opuścić. Kościół został zamknięty.

Jak dzielny flisak zdobył żonę. W olbrzymich lasach Szwecji bez przerwy niemal pracują drwale, dostarczając drzewa tartakom, czy też papierni. Zimą, gdy chłopi szwedzcy nie pracują w polu, mogą wszystkie siły poświęcić pracy w lesie, wskutek czego gromadzą się tam olbrzymie masy drzewa, które z wielkim trudem dostarczać trzeba do rzek i jezior, gdzie gromadzi się je w ciągu długich miesięcy zimowych na lodowej powłoce. Dopiero gdy nadejdą roztopy wiosenne i gdy gruba warstwa lodu stopnieje, olbrzymie pnie dostają się na wodę i płyną ku Bałtykowi. Często jednak spław drzewa zatrzymują wiry, a flisacy dużo muszą włożyć pracy, aby drzewo puscić dalej. Taki właśnie wir znajdował się na jednej z największych rzek szwedzkich. Nad brzegiem tej rzeki przechadzała się młoda para — flisak Olaf Sjödin z piękną towarzyszką Linneą. Dziewczynie bardzo się podobało przeskakiwanie z jednego pnia na drugi i balansowanie po nich. Nagle jednak pnie, po których skakała, wpadły w wir, a po chwili Linnea znalazła się o kilka metrów od brzegu. Chcąc ratować swą towarzyszkę. Olaf schwycił żerdź i zaczął skakać z pnia na pień. Po pewnym czasie znalazł się on tuż przy dziewczęciu, chwycił ją wpół i pragnął z nią wydostać się na spokojną wodę. Za każdym jednak razem, gdy zbliżali się do brzegu, chwytał ich prąd nanowo i pędził na środek rzeki, gdzie groziło niebezpieczeństwo dostania się w silne wiry i znalezienie pewnej śmierci. Zaalarmowano całą wieś i wkrótce wszyscy mieszkańcy znaleźli się nad brzegien. Musieli jednak bezsilnie patrzeć na ten taniec ze śmiercią, nikt bowiem nie miał odwagi wypłynąć na rzekę, w jednej chwili bowiem i jemu groziło to samo niebezpieczeństwo. Próbowano wprawdzie ratować oboje przy pomocy lin, były one jednak za krótkie, by sięgnąć do Olafa i Linnei. Opadała ona coraz bardziej z sił, pośliznęła się i wpadła po piersi w wodę. Olafowi z wielkim trudem udało się ją wydobywać. Straszny krzyk przerażenia rozległ się, gdy z brzegu zauważono, że oboje pogrążeni stracili równowagę i wpadli do wody. Olaf jednak niedarmo uchodził za jednego z najzręczniejszych flisaków, więc i tym razem potrafił wyratować towarzyszkę i siebie z rozpaczliwego położenia. Ta walka ze śmiercią trwała dwie godziny. Dopiero po upływie tego czasu udało się dzielnemu Olafowi skoczyć z zupełnie wyczerpaną dziewczyną na skałę. Rozwiązanie tej walki ze śmiercią odbyło się wkrótce w kościele. Linnea bowiem nie omieszkała ofiarować ręki swemu zbawcy.

Minister listonoszem. Nowy angielski minister poczt i telegrafów, Lee Smith, opowiada o zabawnem zdarzeniu, które mu się przytrafiło, gdy bawił niedawno na urlopie w pewnym zakątku Walji. Minister, wszedłszy do biura pocztowego, aby kupić znaczków pocztowych, zauważył, że jedyna urzędniczka, a zarazem telegrafistka tego biura, jest wprost w rozpaczy. Zapytał więc o powód tego zdenerwowania i otrzymał odpowiedź, że nadeszła depesza terminowa, która ma być natychmiast odesłana adresatowi, tymczasem chłopiec biurowy roznosi właśnie listy. Według zaś przepisów pocztowych nie wolno urzędniczce opuścić pod żadnym pozorem biura pocztowego, ma jednak prawo powierzyć, w braku roznosiciela depesz, depeszę terminową osobie budzącej zaufanie, do odniesienia adresatowi za wynagrodzeniem 3 pensów. Minister, widząc rozpacz urzędniczki, podjął się odniesienia depeszy. Panna spojrzała wobec tego uważnie na usłużnego klienta i rzekła: Wygląda pan na człowieka, któremu można zaufać. W imię więc Boże powierzam panu depeszę. Minister nie tylko odniósł zaraz wręczony sobie telegram pod wskazanym adresem, ale także przyjął zarobione uczciwie trzy pensy. Na pytanie jednak, co sobie za trzy pensy kupił, odpowiada tylko uśmiechem.

Surowy kaznodzieja. Wielebny William Fraser, kaznodzieja, jednej z angielskich świątyń stolicy Anglji, wywołał wielkie wrażenie nad Tamizą, nie wahając się skrytykować z kazalnicy, wobec 2.000 wiernych, ostremi słowy pogwałcenia odpoczynku niedzielnego przez syna królewskiego, księcia Jorku, tudzież przez prezesa ministrów, Mac Donalda. Surowy kaznodzieja dopatrzył się grzechu i zgorszenia w tem, że książę Jorku uczestniczył wraz z małżonką w niedzielę w uroczystści jubileuszowej pewnej szkoły wojskowej, wygłosił podczas uroczystości tej mowę i przypinał do piersi oficerom ordery, przyznane im przez króla. Postępowanie takie, twierdził kaznodzieja, sprzeczne jest ze słowami pisma św., nakazującemi święcenie niedzieli jako dnia Pańskiego. Jeszcze jednak gorszego grzechu miał się dopuścić prezes ministrów, Mac Donald, w niedzielę bowiem prowadził rokowania dyplomatyczne z ambasadorem amerykańskim w Londynie, generałem Dawesem. I dlatego to, zdaniem Frasera, rokowania te nie dały żadnego wyniku. Duchowieństwo, zakończył surowy kaznodzieja, postara się o to, aby na przyszłość prezes ministrów nie gwałcił dnia Pańskiego. To samo ma być zastosowane też względem księcia Jorku.

Środek na nieboszczyków. Prasa angielska podaje z Sidney brzmiącą wprost niewiarygodnie wiadomość o wynalazku lekarza australijskiego specjalisty chorób sercowych. Lekarz ten, po dwuletnich pracach skonstruował aparat, który ma rzekomo ożywiać nieboszczyków. Główną częścią aparatu jest igła elektryczna, którą wprowadza się do serca trupa. Uczony australijski zastrzega się zresztą, że aparat jego może oddać nieocenione usługi jedynie w tych wypadkach, gdy operację wykonuje się w 10 najdajej w 12 minut po śmierci. Zaznacza on również, że wynalazek jego ma ogromne znaczenie w wypadkach śmierci nagłej i stosowany jest z powodzeniem w Sidney na noworodkach, które przyszły na świat nieżywe oraz na topielcach.

Żona 50 mężów. Wszystkie rekordy wielożeństwa pobiła piękna Belgijka, niejaka Adrienne Quyant. Młoda ta, 28 letnia niewiasta, córka wieśniaka z pod Mons, umiała w tak sprytny sposób wykorzystać swą urodę, że zawieranie małżeństw stało się dla niej istnym sportem. Oczywiście wybierała zamożnych konkurentów i z niezwykłą szybkością trwoniła ich pieniądze, aby wnet ich opuścić i zawierać nowe małżeństwa. Przyłapana na bigamji w Brukseli, przyznała się, iż ni mniej ni więcej tylko ma... 50 ciu mężów, oświadczając, że liczby konkurentów, których przyrzekła poślubić, nie może wobec ogromnej ich liczby określić nawet w przybliżeniu.

Panna młoda w opałach. Pewien urzędnik stanu cywilnego w Amsterdamie opowiada o następującem zdarzeniu, które mu się zdarzyło podczas urzędowania. Stanęła przed nim para nowożeńców, którym miał udzielić ślubu cywilnego. Pan młody, trzydziestoletni doktor filozofji, panna młoda, ładna kobieta, wyglądająca jeszcze młodo i twierdząca, że ma lat dwadzieścia pięć. Przy sprawdzaniu wieku nowożeńców w rejestrach stanu cywilnego okazało się, że pan młody liczy istotnie 33 lata,

gdy jednak przyszło do badania wieku panny młodej, twarz jej tak pobladła, że zaniepokojony pan młody spytał: „Co się stało, Ameljo?“ Amelja jednak nie odpowiedziała, utkwiwszy wzrok w karty przewracanego przez urzędnika foljału. Nareszcie urzędnik odszukał właściwą kartę i zawołał: „Lat trzydzieści pięć!“ „Przepraszam, zaprotestowała panna młoda, lat dwadzieścia pięć!“ „Dwadzieścia pięć? spytał zdziwiony urzędnik. Oto rejestr stanu cywilnego, a w nim data urodzin pani: Rok 1893 ci. Omyłka wyłączona!“ „A jednak pan się myli, wyjąkała pobladła, drżąca panna, ja liczę lat dwadzieścia pięć!“ Urzędnik zrozumiał sytuację widząc, że klientka jego jest bliska omdlenia, nie chciał już nalegać, gdy nagle wtrącił się do sporu pan młody i rzekł, zwracając się do urzędnika: „Mniejsza o to. Pańskim obowiązkiem jest trzymać się ściśle ksiąg stanu cywilnego, niechże więc pan pisze: trzydzieści pięć“. Zwróciwszy się następnie do narzeczonej dodał: „Co cię to obchodzi, ukochana, że w rejestrze zapisane będzie, iż liczysz lat trzydzieści pięć? Dla mnie masz lat dwadzieścia pięć i kwita“. Powrócił rumieniec na twarz panny, a oczy jej spojrzały gorąco na narzeczonego, poczem sporządzono już bez żadnego protestu i podpisano akt ślubny i nowożeńcy opuścili szczęśliwi urząd stanu cywilnego. „Sądziłem, kończy opowiadający, że będę świadkiem dramatu, tymczasem stałem się świadkiem idylli. I muszę przyznać, że pan młody okazał się prawdziwym gentelmanem.

Niezwykły urodzaj we Francji. Wedle zapowiedzi ministerstwa rolnictwa zbiory tegoroczne we Francji są większe od wszystkich, jakie dotychczas zanotowano. Rząd francuski przyobiecał jednak rolnictwu, że uczyni wszystko, aby nie dopuścić do spadku cen na zboże.

Katastrofalna posucha. Z Paryża donoszą, że straszna susza, jaka tam panuje od 38 dni, jest zjawiskiem rekordowem. Od r. 1854 tak długiej suszy jeszcze nie zanotowano: Ostatni deszcz spadł 8 sierpnia. Jeżeli nie brać pod uwagę krótkiej burzy, która przeszła nad Paryżem 16 sierpnia, to przez ten cały czas nie spadła ani kropla deszczu. W archiwach stwierdzono, że w r. 1754 kompletna susza trwała 28 dni, w 1911 r. susza zbliżała się do rekordu, lecz w 33 dniu spadł deszcz. W r. 1855 Paryż był bez deszczu przez 34 dni. Susza przerwana została huraganem, w czasie którego spadły 4 miljony m. sześc. wody deszczowej. Z Berlina donoszą, że w wyniku długotrwałej suszy stan wody na Łabie na linji Heutenburg spadł o półtora metra poniżej normalnego poziomu. Kilkaset parowców osiadło na mieliznach i ciągną się one sznurem na 20 km. Przeszło 100.000 ton ładunków okrętowych, wartości wielu miljonów marek, uległo w ten sposób unieruchomieniu.

Wzruszenie lekarzem. Pani Verdier — 63-letnia wdowa, mieszkała od dłuższego czasu u swojej siostrzenicy w Douai (miasto we Francji). Staruszka utraciła wzrok jeszcze przed 30 laty. Pewnego dnia siostrzenica jej otrzymała list, którego treść głośno odczytała niewidomej. Pewien ustęp tego listu wzruszył do tego stopnia staruszkę, że kiedy następnie została sama, poczuła dziwne wrażenie, jak gdyby zaczęła rozeznawać otaczające ją przedmioty. Na jej krzyk zdumienia zbiegła się rodzina i była świadkiem, jak niewidoma od 30 lat kobieta odzyskała władzę wzroku.

Bitwa policji z warjatem. Prawdziwą bitwę stoczyła policja w Marsylji z warjatem, który z okna małego hoteliku zaczął nagle zasypywać ludzi kulami rewolwerowemi. Był to lokator hotelu, Włoch, Dominik Masciana, który nagle oszalał. Zawiadomiono policję, która przybyła do hotelu, ale warjat zabarykadował drzwi i strzelał bez ustanku. Wrzucono przez otwarte okno bomby łzawiące. Ale i to nie pomogło. Dopiero straż pożarna rozbiła drzwi przy pomocy silnego prądu wody. Gdy warjat nie przestawał strzelać, policja zasypała wnętrze jego pokoju kulami karabinowemi. Jedna z kul zraniła ciężko warjata, który w drobze do szpitala zmarł.

Miljonowy zapis dla papieża. Wielką sensację we włoskich kołach arystokratycznych wywarło niedawno wstąpienie księcia Paterno i jego córki do zakonu. Jak się obecnie okazało, książę i księżniczka Paterno zapisali cały swój majątek, szacowany na 25 miljonów lirów, na rzecz Papieża. Klejnoty księżniczki, oszacowane na dzisięć miljonów lirów, przeznaczone zostały do ozdobienia cudami słynącej statui świętej Rozalji w Palermo.

Zmyślny pies. W Neuköln zdarzył się zadziwiający wypadek zmyślności psa owczarka. Niejaka Marta Schley, zamieszkała na Egestr, w nocy postawiła na maszynce gazowej rondelek z mlekiem. Nagle Schleyowa zemdlała. Mleko wykipiało i zgasiło płomień gazu. Gaz ulatniał się stopniowo napełniając kuchnię. W sąsiednim pomieszczeniu spał duży pies owczarek, który poczuwszy gaz, wszedł do kuchni, a zobaczywszy leżącą bez czucia panią, wyciągnął ją na korytarz. Na świeżem powietrzu Scheleyowa odzyskała przytomność, tymczasem zmyślne zwierzę szczekaniem obudziło sąsiadów. Reszty dokonało pogotowie.

Dobry przykład dyktatora Turcji. Dyktator Turcji Kemal Pasza, udał się niedawno do swego gospodarstwa pod Angorą, gdzie posiada wzorowe gospodarstwo, aby swym ziomkom, uprawiającym rolę jeszcze w sposób pierwotny, dać dobry przykład, jak powinien wyglądać prawdziwy postęp w rolnictwie. Wzorowy ten folwark nazywa się Czankaja (zielone pole), a leży prawie u bram nowej stolicy. Przed kilku tygodniami sprowadził sobie z Anglji pierwszy pług parowy, jakiego jeszcze pola tureckie i rolnicy tamtejsi nie widzieli. Zgromadził się tłum ciekawych rolników, aby się przyglądać, jak pracuje w polu pług parowy, wynalazek chrześcijan. Pług prowadził sam Kemal Pasza, a hałas i warkot maszyny był tak wielki, że konie, muły i osły, na których przybyli do Czankaja okoliczni rolnicy, zaczęły wierzgać, ryczeć i uciekać z przestrachu. Wielu sąsiadów spadło z koni, co jednak nie przeszkodziło w zaczętej pracy pługa parowego. Zmęczony pracą udał się Kemal do swego domku, aby odpocząć. Nagle, wśród nocy, wpadł do sypialni służący i skrzyżowawszy ręce na piersiach zawołał: „Ghazi! (Panie) Bazar rybny (skład ryb) w Angorze się pali!“ Kemal, zerwawszy się na równe nogi, dosiadł konia i udał się galopem na miejsce katastrofy. Nietylko bazar rybny, ale otaczające go budy, gdzie znajdują się obfite zapasy żywności wszelkiego rodzaju, ogarnięte były pożarem. Napróżno jednak. Bazar i otaczające go budy, są przeważnie drewniane. Niebawem też całe prawie targowisko spłonęło wraz z mnóstwem zapasów żywności. Katastrofa stała się zupełną, tak, że Kemal zmuszony był zażądać od gminy w Kostantynopolu przysłania natychmiast największej ilości środków żywnościowych, aby mieszkańcy nowej stolicy mogli zaspokoić grożący im głód.

Klęska szarańczy w Indjach. Wschodnio indyjską prowincję Sind nawiedziła klęska szarańczy. Najbardziej zagrożone są okręgi niedotknięte ostatniemi powodziami. Celem zwalczania szarańczy zażądały władze kilku samolotów, zaopatrzonych w przybory do wytrucia szarańczy.

RZECZY CIEKAWE.

Prowokatorki pocałunków.

Po pochodach krzyżowych przeciw alkoholowi i tytoniowi, przyszła w Ameryce kolej na krucjatę, skierowaną przeciw pocałunkom. W wielu stanach amerykańskiego związku, a także w New-Yorku egzystuje od dziesiątków lat prawo, zakazujące pocałunków w miejscach publicznych.

Prawo to jednak, ograniczające obrót tak słodkim i tanim towarem, było bezustannie obchodzone i łamane. Przeciw tym bezprawiom wystąpiły ostatnimi czasy z całą energją rozmaite organizacje kobiece i pod ich presją rząd czuł się zmuszony przedsięwziąć jaknajdalej idące zarządzenia, któreby ukróciły ten jawny pocałunkowy szmugiel.

W tym celu, zachowując jaknajgłębszą tajemnicę, zaangażowała policja kilka setek pięknych i apetycznych dziewczątek, których zadaniem miało być przyłapywanie in flagranti chciwych pocałunków mężczyzn i oddawanie ich w ręce umundurowanej policji.

Dziewuszki te otrzymały tajną instrukcję, w myśl której winny one „sypać oko" w ogrodach, parkach i kinach do nadającej się ofiary, by umożliwić jej znajomość, a następnie doprowadzić do ukradzenia sobie całusa. Spisany w tym względzie protokuł, pociągał za sobą po raz pierwszy karę 50 dolarów, a recydywa groziła wyższemi karami, aż do 2-miesięcznego więzienia włącznie.

Niektóre z pism amerykańskich wystąpiły z całą surowością przeciw tej idjotycznej akcji, ośmieszającej Stany Zjednoczone w oczach całego świata. Wszczęta przez nie kontrakcja wykazała, że niektóre z „detektywek" pozwalają się obcałowywać, nie upamiętniając tego w żadnym protokole. W dwu wypadkach obcałowywane agentki wyszły za mąż za sprowokowanych przez siebie „przestępców". W kilku innych zdołano dowieść, że owe „akcyzniczki" od pocałunków przecholowały swą gorliwość daleko poza granicę pocałunku.

Liczba ludności na ziemi.

Podług ostatnich statystycznych danych, na całej ziemi zamieszkuje około 2 miljardów ludzi. Z liczby tej 900 miljonów przypada na Azję, 500 miljonów na Europę, 220 miljonów na Amerykę, 150 na Afrykę i 7 miljonów na Australję.

Na czele krajów europejskich idzie Rosja ze 115 miljonami ludności, następnie Niemcy z 62.5 miljonami, Wielka Brytanja 42.7 milj., Włochy 41 milj., Francja z 39.5 milj., Polska z 30 milj., Hiszpanja z 21.3, Rumunja z 17, Czechosłowacja z 13.6, Jugosławja z 13, Węgry z 8, Belgja z 7.8, Holandja z 7.6, Austrja z 6.5, Szwecja i Grecja z 6 miljonami ludności.

Wino z mrówek.

Nietylko Chiny słyną z egzotycznych przysmaków na których widok Europejczyk odczuwa raczej niesmak.

Krajowcy bowiem Ameryki Południowej wykazują niemniejsze zdolności w sztuce kulinarnej. Wśród licznych ekscentrycznych potraw i trunków wysuwa się na pierwszy plan tak zw. Mochileras, najcudowniejsze i zapewne najcudaczniejsze wino na świecie, o smaku alkoholu zmieszanego z papryką i tabaką, wywołując przemiły i wesoły nastrój psychiczny. Wino to wyrabia się z gniecionych mrówek z gatunku Hormigas, które sprzedawają handlarze masowo w wielkich skórzanych workach. Ze zgniecionych mrówek wyciska się sok przez płócienne sito; sok pozostawiony pewien czas w glinianych garncach fermentuje w wino!

Pszczelarstwo w szkołach.

W szkołach wiejskich w Niemczech zaprowadzono pszczelarstwo, jako przedmiot obowiązkowy. Osiągana stąd korzyść jest bardzo wielostronnna. Przedewszystkiem dzieci nabywają wielu wiadomości z dziedziny przyrody. Następnie kształcą swój charakter, wiadomo bowiem, że pszczelnictwo wymaga pewnych zalet i przymiotów, jak spokoju, cierpliwości, opanowania itp. Wreszcie, nie jest i do pogardzenia bezpośrednia korzyść, jaką osiąga się z hodowli pszczół przy szkołach. Świadomość młodzieży, że czynnie, i niejako namacalnie przyczynia się do dobrobytu ojczyzny, jest stanowczo czynnikiem pedagogicznie bardzo dodatnim. W Polsce, gdzie pszczelnictwo należy niejako do tradycyjnych zajęć mieszkańców wsi, i gdzie osiągnięto tak piękne wyniki z hodowli pszczół przez kolejarzy, zamieszkałych przy torach kolejowych, również zaprowadzenie nauki pszczelnictwa w szkołach powszechnych na wsi, wydaćby mogło doskonałe rezultaty. W każdym razie należałoby zaryzykować próbę tej nauki, na razie w niektórych szkołach, mianowicie tam, gdzie ku temu istnieją warunki, a mianowicie obfitość roślin miododajnych, nauczyciel, znający się na pszczelnictwie, który mógłby udzielać wskazówek, itp. a obowiązkowo zaprowadzić przy każdej szkole pasiekę.

Człowiek bez uśmiechu.

Postacie polityków Dalekiego Wschodu są ciekawsze od europejskich mężów stanu, a najciekawszą z nich jest bezsprzecznie obecny premjer japoński Yuko Homaguchi. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że Japończyk śmieje się zawsze, nawet przez łzy. Ten uśmiech z grzeczności jest poniekąd przykazaniem religijnem. Ale Yuko Homaguchi nie śmieje się nigdy. Zawsze jest poważny.

Już ta sama okoliczność zjednała mu popularność w Japonji. Niema on żadnych osobistych przyjaciół i wtajemniczonych, a jednak posiada zaufanie wszystkich nie wyłączając wrogów. Dziwna jakaś aureola — człowieka bez skazy — tworzy się dokoła niego i zjednywa mu sławę poważnie i zaufanie narodu japońskiego.

Przy obejmowaniu gabinetu Hamaguchi musiał według przyjętych zwyczajów wydać wielki bankiet dla kolegów, prasy i innych gości. Na wspaniale wydanym bankiecie stawili się wszyscy prócz samego Hamaguchi. Sekretarz oświadczył gościom, że premjer nie ma czasu na zabawę.

I rzeczywiście Hamaguchi pracuje bez przerwy i nie uznaje rozrywek, w teatrach, kinach czy bankietach. Jeden z dziennikarzy zapytał raz premjera na kim się wzoruje. Premjer odpowiedział krótko:

— Jestem sam dla siebie najlepszym wzorem!

Lud japoński spodziewa się, że Hamaguchi dokona różnych reform, których wymaga postęp gospodarczy Japonji.

Ofiary ognia.

Stany Zjednoczone — kraj różnorodnych rekordów — biorą również rekord co do częstości pożarów. Podług niedawno ustalonej statystyki, w Ameryce wybucha co 4 minuty pożar. Szkody, wyrządzone

przez ogień, wynoszą w bieżącym roku aż 70 milj. dolarów, pomimo, iż rząd, jak również poszczególne zarządy miejskie, wydają olbrzymie sumy na środki ochronne przeciwkoogniowe.

W roku ubiegłym doszła ilość ludzi, którzy stracili swe życie przy pożarze do przerażającej cyfry 15.000 osób. Ze statystyki tej również wynika, że przyczyną pożarów jest zazwyczaj nieświadomość lub niedbałość poszczególnych osobników. Rozmaite organizacje kobiece podjęły walkę wychowawczą z tą ignorancją i starają się na każdym kroku wpajać zasady należytego zachowania się w czasie pożaru.

Kraj ludzi najdłużej żyjących.

Jest nim państwo w Ameryce Południowej Kolumbja. Najstarszy obywatel Kolumbji Luis Agudelo obchodził uroczyście 142 rocznicę urodzin. Starzec mieszka we wsi Concepcion i jak sam opowiada, ani razu nie opuścił kraju rodzinnego. Do niedawna zajmował się ciężką pracą i pamiętał doskonale wypadki, nawet z przed 120 lat. Od kilku tygodni jednak stwierdzono u Agudeli zanik pamięci. Około 300 mieszkańców prowincji Antiupio przekroczyło już dawno setny rok życia. Zdaniem lekarzy na ten stan korzystny składają się doskonałe warunki zdrowotne okolicy. Zboże w Antiupio ma jakoby zawierać więcej środków odżywczych aniżeli gdzieindziej. Powietrze jest bardzo czyste i zdrowe, sposób życia mieszkańców spokojny i niezamącony żadnemi gwałtownemi wzruszeniami.

Tegoroczne plantacje tytoniowe w Polsce.

Zgłoszonego obszaru na którym uprawia się tytoń, mamy obecnie w Polsce 6.475 hektarów, z czego 67% przypada na tytonie papierosowe, cygarowe itp., reszta zaś na tytonie machorkowe.

Tegoroczne zbiory z plantacyj tytoniowych, zwłaszcza wobec pięknej jesieni, zapowiadają się nadzwyczaj obficie. Przypuszczalnie zbiór tytoni papierosowych, cygarowych i innych wyniesie około 7 i pół milj. kg., wobec 5,662.000 kg. w r. ub., tytoni zaś machorkowych 2,500.000 kg., lub nawet więcej, wobec 880.000 kg. w r. ub.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Kachna Ł. Łza** w W.: Nie zrozumiała Pani naszego twierdzenia. Wskutek podobieństwa twórczości przypuszczaliśmy, że słabszy wierszyk podpisała Pani pseudonimem. Ani na myśl nam nie przyszło inne przypuszczenie. — **Jakób Jeziorański** w K.: Żądany numer może później jeszcze się znajdzie, obecnie trudno nam wyszukać. — **Piotr Wenc** w Ś.: Artykuł otrzymaliśmy — dzięki. — **Maryla „Widz"** w O.: Wierszyki, jak zwykle, dobre. A jakże się podobała Wystawa? Obiecała nam Pani opisać swe wrażenia, a tymczasem Wystawa się kończy, więc już byłoby zapóźno. — **Jan Kowal** w N.: Przy układaniu zagadek trzeba uważać i na ich formę. Wprawdzie dotychczas zamieszczaliśmy i słabsze pod tym względem (n. p. szarady bez rymu i rytmu), ale na przyszłość będziemy tego unikać, gdyż i tak mamy zagadek dosyć. — **Józef Pietraszka** w Z.: Każdy z naszych Czytelników może utwory swe przesyłać do „Roli", a więc tak artykuły dłuższe, jak i notatki kronikarskie.

Zagadki do nagrody.

1. Zadanie konikowe.

(Ułożył A. St B.).

w	z	i	i	o	c	s	K
k	M	i	s	j	i	w	k
c	e	c	ł	a	z	a	k
i	i	i	c	r	e	i	e
ń	i	k	p	S	L	U	s
a	W	o	o	j	K	n	z
w	s	s	s	i	r	p	i
y	ń	w	t	r	k	c	a

Ruchem konika szachowego odszukać 7 nazwisk poetów polskich.

2. Szarady.

I.

Całości dzisiaj rolnicy wiele używają,
Którą drugie, trzecie ze Śląska ściągają,
Niejedna pierwsza, czwarta znika w Pol- [skiej roli,
Masz zagadkę łatwą, myśl! a zgadniesz [powoli

II.

Często spotyka się drugie, pierwsze konie,
Drugi, pół czwartego jest przy łotra zgonie.
Drugie, pół pierwszego i trzeciego pływa,
Trzecie, drugie żołnierz do boju dobywa,
A całość (bez pierwszego) to poddanie o- [znacza.

W piątem i części drugiego flaszki się [macza,
Zaś pierwsze piąte i szóste: sprawozdanie.
Całość: pozozycji w rachunkach zestawie- [nie.

3. Krzyż magiczny.

(Ułożył W. Zieliński z S).

A A A
A A A
A A A
A E E I I I I K K
L Ł Ł M N N O O P
P R R R R S S S T
T W W
Y Y Z
Z Z Z

Z liter podanych ułożyć krzyż, któregoby ramiona poprzeczne i podłużne dały trzy imiona męzkie.

4. Układanki.

(Ułożył Tadeusz Rutkowski w K.).

Nuta + przysłowie + spółgłoska = imię [męzkie.
Pożegnanie + spółgłoska + część więzie- [nia = plac pod dom.
Imię chińskie + pożegnanie = drzewo [liściaste.
Samogłoska + Polska w jęz. obcym = i- [mię żeńskie.
Miara powierzchni + zaimek + liczby = [człowiek utalentowany.

5. Zagadki.

(Ułużył Bronisław Gołębiowski).

I.

Ma wygląd rogacza
Choć nie jest rogaczem,
Nigdy nie rozpacza,
Iż jest posługaczem.

II.

Do pałacu i pod strzechę,
Niesie djabeł tę pociechę —
By przeważnie z tej pociechy,
Rosły zbrodnie, hańba, grzechy.

IV.

Ni to biżuterja ni to klejnot drogi,
Zdobi jednak często i ręce i nogi.

Termin nadsyłania rzowiązań upływa dnia 5 października b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 37 „Roli": 1. Kwadrat magiczny: Mickiewicz, Kraszewki, Malczewski, Zimorowicz, Wasilewski, Rodziewicz, Stachowicz, Paderewski, Kościuszko, Żółkiewski. 2. Zagadki: I. Cep, II. szewc, III. lustro, IV. widelec, V. dolar, VI. las. 3. Szarady: I. Figielki, II. szyldkret, III. papierosy. 4. Układanki: Mocarz, lewkonja, listopad, marmur, pożar, rakieta.

Dobrego rozwiązania **wszystkich** zagadek nikt nie nadesłał.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Odmłodniała.

— Czy pańskiej żonie naprawdę tak posłużyła kuracja odmładzająca?

— O tak! bardzo! Wczoraj naprzykład chciała pójść do kina, ale gdy ujrzała na afiszu napis: „dla młodzieży zakazane“, to wróciła do domu.

Nieporozumienie.

— Panno Zosiu! Jeżeli ja panią pocałuję, czy zawoła pani mamusię?

— Poco? Czy pan chce ją także pocałować?

W klasie.

Nauczyciel:

— Gdzie leży Palestyna?

Kazio:

— Tam, gdzie biją żydów.

Niech pani zajrzy...

Pewien wieśniak, który nauczycielce drzewo przywiózł, patrzył z podziwem na olbrzymią mapę wiszącą na ścianie i nie mógł odgadnąć, coby te różne kreski znaczyć miały.

Na zapytanie jego wytłumaczyła nauczycielka, że to mapa, na której są wszystkie rzeki i miasta.

— A Kowel jest też? — zapytał wieśniak.

Jest — oto tu — wskazała nauczycielka.

Ach, to niech pani nauczycielka będzie łaskawa i zajrzy, co też tam mój syn robi, który jest w Kowlu we wojsku.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 24 września b. r.

Płacone za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·18 do 1·75 zł.	Jałownik	od 1·01 do 1·68 zł.
Woły . .	od 1·26 do 1·76 zł.	Cielęta .	od 1·81 do 2·76 zł.
Krowy .	od 0·95 do 1·68 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·63 do 2·85 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·90 do 3.60

Giełda płodów rolniczych

z dnia 24 września b. r.

Pszenica .	39·00—40·00	Słoma długa	10·00—11·00
Żyto .	24·00—25·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	21·00—22·00	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	26·00—27·00	Mąka żytnia	41·00—41·50
Fasola biała	125·00—135·00	Mąka pszen.	73·00—74·00
Groch zwyk.	48·00—51·00	Otręby pszen.	17·50—18·00
Siano słodk.	10·00—11·00	Otręby żytnie	17·50—18·00
Łubin żółty	00·00—00·00		